

Najwspanialszy błąd

Nora Roberts



calibre 0.9.43

NORA ROBERTS

NAJWSPANIALSZY BŁĄD

The Best Mistake (Two of a Kind)

Przełożyła Małgorzata Hesko - Kołodzińska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nikt nie otwierał. Coop zerknął na kartkę, którą trzymał w ręce, aby upewnić się, że trafił pod właściwy adres. Wszystko się zgadzało, a ponieważ schludny, jednopiętrowy domek w stylu tudoriańskim w przyjemnej, pełnej drzew okolicy bardzo mu odpowiadał, energicznie zapukał jeszcze raz.

Na podjeździe stał samochód, nie najnowsze kombi, któremu przydałoby się mycie i drobne naprawy. Ktoś jest w środku, pomyślał Coop, krzywiąc się i spoglądając w okna na pierwszym piętrze, skąd dobiegała muzyka - głośny rock o miarowym rytmie. Wsunął kartkę do kieszeni i przez chwilę rozglądał się po okolicy.

Dom był starannie utrzymany, od drogi oddzielały go przyszywane krzewy wawrzynu. Ogród, w którym zaczynały kwitnąć wiosenne kwiaty, był kolorowy i jednocześnie na tyle dziki, żeby nie wyglądać nudno.

Coop może nie zaliczał się do szczególnych miłośników kwiatów, ale lubił odpowiednią atmosferę.

Za podjazdem stał dziecinny czerwony rowerek. Coop na jego widok od razu poczuł

się trochę nieswojo. Nie przepadał za dziećmi. Nie znaczyło to, że ich nie lubił. Po prostu zawsze wydawały mu się jakieś obce, niczym goście z odległej planety: posługiwały się innym językiem, miały inne zaplecze kulturowe. Poza tym były małe i zazwyczaj lepkie.

W ogłoszeniu była mowa o ciszy, spokoju i dogodnej odległości od Baltimore.

Właśnie czegoś takiego szukał.

Znowu zapukał, ale jedyną odpowiedzią była ogłuszająca muzyka, która dobiegała z okna. Rock mu nie przeszkadzał. Przynajmniej go rozumiał. Nie był jednak człowiekiem, który czekałby zbyt długo przed zamkniętymi drzwiami, więc nacisnął klamkę. Kiedy drzwi się otworzyły, popchnął je i wszedł do domu. Jak to miał w zwyczaju, odgarnął z czoła ciemne włosy i rozejrzał się po niezbyt schludnym pokoju gościnnym.

Panował tu niezły bałagan, i Coop, kawaler, który większość ze swoich trzydziestu dwóch lat życia spędził w samotności, zdumiał się na ten widok. Często powtarzał sobie, że nie jest pedantem. Po prostu uważał, że każda rzecz ma swoje miejsce i dzięki temu łatwiej ją znaleźć. Najwyraźniej jego

ewentualny gospodarz miał na ten temat zupełnie odmienne zdanie.

Leżały tu zabawki pasujące do stojącego na podjeździe rowerka, stosy czasopism i gazet oraz mała czapka baseballowa z literą O.

Przynajmniej dzieciak ma dobry gust, uznał Coop.

Następnie minął niewielką garderobę w zdumiewającej kombinacji fioletu i zieleni oraz mały pokój naprędce zamieniony w biuro. Szuflady w pomieszczeniu były pootwierane, wysypywały się z nich papiery. W kuchni naczynia w zlewie czekały na zmycie, a jaskrawe rysunki jakiegoś dziecka z wybujałą wyobraźnią zdobiły drzwi lodówki.

Pomyślał, że może to i dobrze, że nikt nie otworzył drzwi.

Zastanawiał się, czy wyjść, czy też udać się na górę. Skoro już się tu znalazł, może warto zwiedzić resztę domu. Wyszedł jednak na zewnątrz, żeby przyjrzeć się okolicy.

Zauważył drewniane schody prowadzące na podest. Pomyślał, że to pewnie owo prywatne wejście, o którym wspomniano w ogłoszeniu, i wspiął się po schodach.

Szklane drzwi były otwarte, dobiegała z nich ogłuszająca muzyka. Coop poczuł

zapach świeżej farby, który zawsze lubił, i wszedł do środka.

Na otwartej przestrzeni z ręcznie połączono kuchnię z pokojem gościnnym. Sprzęty nie były nowe, ale lśniły. Terakota została umyta dosłownie przed chwilą, bo mimo dominującego zapachu farby Coop wyczuwał aromat sosnowego środka do zmywania.

Poczuł przyływ nadziei i postanowił zlokalizować źródło tej ogłuszającej muzyki.

Skierował się w głąb mieszkania, rozglądając się po drodze. Łazienka wydawała się równie czysta jak kuchnia i, na szczęście, po prostu biała. Obok umywalki leżała książka o naprawach domowych, otwarta na rozdziale o hydraulice. Coop nieufnie odkręcił kurek.

Kiedy wypłynęła czysta woda, z zadowoleniem pokiwał głową.

Po drugiej stronie korytarza znajdował się mały pokój, doskonale nadający się na biuro. W ogłoszeniu wspomniano o trzech pomieszczeniach.

Muzyka zaprowadziła go do sporego pokoju od frontu, gdzie znajdowało się wystarczająco wiele miejsca, by pomieścić jego dobytek. Podłoga z drewna orzechowego, w całkiem dobrym stanie, była pokryta szmatami. Wszędzie stały puszki z farbą, palety, pędzle, wałki. Na drabinie stał malarz w obszernych ogrodniczkach, z bosymi stopami i zawzięcie machał pędzlem po ścianie. Mimo męskiej czapki i workowatego stroju, Coop natychmiast rozpoznał w malarzu kobietę.

Była wysoka, miała długie i wąskie stopy pobrudzone farbą, a paznokcie stóp pomalowane na jaskrawoczerwony kolor. Śpiewała niby w rytm muzyki, ale strasznie fałszując melodię.

Coop szarpnął za klamkę.

- Proszę pani?

Nadal malowała, a jej biodra poruszały się w rytm muzyki. Coop przeszedł po szmatach i postukał ją w ramię.

Wrzasnęła, podskoczyła i gwałtownie się odwróciła. Mimo że Coop był szybki, nie zdołał uniknąć pacnięcia pędzlem w policzek.

Zaklął i odskoczył do tyłu, ale zaraz zrobił krok do przodu, żeby ją złapać, zanim spadnie z drabiny. Przez chwilę widział bladą, trójkątną twarz, w której dominowały olbrzymie, okolone długimi rzęsami oczy, i poczuł zapach kapryfolium. Ale już po sekundzie jęknął i zgiął się wpół, łapiąc się za brzuch, w który wbił mu się jej łokieć. Krzyczała coś, a Coop próbował złapać oddech.

- Zwariowała pani? - wykrztusił i natychmiast uniósł dłoń, zasłaniając twarz, bo złapała puszkę, żeby wykorzystać ją jako broń. - Jeśli pani tym we mnie rzuci, obawiam się, że zrobię pani krzywdę.

- Co?! - wrzasnęła.

- Powiedziałem, żeby pani nie rzucała. Przyszedłem w sprawie ogłoszenia.

- Co?! - Znowu krzyknęła. Jej oczy były szeroko otwarte i przerażone. Wydawała się zdolna do wszystkiego.

- Ogłoszenie, cholera. - Wciąż zgięty wpół, Coop zdołał dotrzeć do przenośnego magnetofonu i wyłączył go. - Przyszedłem w sprawie ogłoszenia - powtórzył, a w nagłej ciszy jego głos zabrzmiał bardzo donośnie.

Duże, brązowe oczy spojrzały na niego podejrzliwie.

- Jakiego ogłoszenia?

- O wynajmie mieszkania. - Przejechał ręką po policzku, przyjrzał się farbie i znowu zaklął. - Cholera. Mieszkania.

- Naprawdę? - Nie spuszczała z niego wzroku. Pomyślała, że wygląda na twardego mężczyznę. Z tymi szerokimi ramionami, szczupłą, ale atletyczną budową i długimi nogami przypominał zabijakę. Jego oczy, jasnozielone, niemal przezroczyste, nie wydawały się przyjazne, a słowiały podkoszulek z napisem Baltimore Orioles i zniszczone dżinsy nie przydawały mu powagi. Doszła do wniosku, że zdołałaby przed nim uciec, a już z pewnością udałoby się jej przekrzyknąć go. - Ogłoszenie pojawi się dopiero jutro.

- Jutro? - Nieporuszony, sięgnął do kieszeni po kartkę. - To właściwy adres.

Ogłoszenie dotyczyło tego mieszkania.

- Dopiero jutro ukaŝe siÄ w gazecie, wiÄc nie mam pojecia, skÄd siÄ pan o tym dowiedziaÅ. - Nie pozwoliÅa zbiÄ siÄ z tropu.

- PracujÄ w gazecie. - Ostroŝnie wyciÄgnÄÅ przed siebie kartkÄ. - Poniewaŝ szukaÅem mieszkania, poprosiÅem koleŝankÄ z dziaÅu ogÅoszeÅ, ŝeby trzymaÅa rÄkÄ na pulsie. - Znowu zerknÄÅ na kartkÄ. - Trzypokojowe mieszkanie na pierwszym piÄtrze, osobne wejÅcie, spokojna okolica, blisko stacja kolejki.

- Zgadza siÄ. - Nie zmieniÅa wyrazu twarzy.

Coop zrozumiaÅ, iŝ ona uwaŝa, ŝe takie postÄpowanie koleŝanki z dziaÅu ogÅoszeÅ nie jest zbyt etyczne. SkrzywiÅ siÄ.

- ProszÄ posÅuchaÄ, ma pani racjÄ, koleŝanka powinna zaczekaÄ, chyba zareagowaÅa z przesadnym poczuciem wdziÄcznoÅci. DaÅem jej bilety na mecz, wiÄc uznaÅa, ŝe zrobi mi przysÅugÄ i przekazaÅa tÄ informacjÄ nieco za wczeÅnie.

Kiedy zauwaŝyÅ, ŝe jej uÅcisk na puszce zelÅaÅ, sprÅbowaÅ siÄ uÅmiechnÄÅ.

- PukaÅem, a potem wszedÅem tu od strony podwÅrza. PostanowiÅ nie wspominaÄ, ŝe wczeÅniej przespacerowaÅ siÄ po domu.

- W ogÅoszeniu nie podano adresu.

- PracujÄ w gazecie - powtÅrzyÅ.

Teraz mÅgÅ siÄ jej dobrze przyjrzeÄ. W twarzy kobiety byÅo coÅ znajomego. Co za twarz! WystajÄce koÅci policzkowe, ÅniÄce oczy i porcelanowa cera, jakÄ majÄ tylko modelki na reklamach kremÅw dla kobiet. MiaÅa szerokie usta i niezwykle peÅne wargi. Jednak w tej chwili jej twarz nadal byÅa zachmurzona.

- Podali mi pani adres w dziale ogÅoszeÅ - ciÄgnÄÅ. - Poniewaŝ miaÅem trochÄ wolnego czasu, pomyÅaÅem, ŝe wpadnÄ juŝ dziÅ i zerknÄ na dom. MogÄ wrÅciÄ jutro, jeÅli z tego powodu poczujÄ siÄ pani lepiej. Ale jestem tu teraz, wiÄc... - WzruszyÅ ramionami. - MogÄ pani pokazaÄ swojÄ legitymacjÄ dziennikarskÄ.

WyciÄgnÄÅ dokument i z zadowoleniem stwierdziÅ, ŝe kobieta zmruŝyÅa oczy, aby siÄ przyjrzeÄ legitymacji.

- RedagujÄ rubrykÄ sportowÄ. „PiÅka w grze”. Nazywam siÄ J. Cooper McKinnon.

- Aha. - Nic jej to nazwisko nie mÅwiÅo. Nie czytywaÅa rubryki sportowej. PodobaÅ siÄ jej jednak uÅmiech tego mÄÅczyzny. Gdy siÄ tak uÅmiechaÅ, nie kojarzyÅ siÄ jej z opryskiem.

Smuga farby na jego szczupÅej, opalonej twarzy wyglÄdaÅa tak komicznie, ŝe niemal jÄ rozweseliÅa i uspokoÅiÅa. - A wiÄc wszystko w porzÄdku. MyÅaÅam, ŝe przez najbliŝsze dwa dni nie bÄdÄ musiaÅa pokazywaÄ mieszkania. Nie jestem gotowa. - WyciÄgnÄÅa puszkÄ, po czym jÄ odstawiÅa. - Nadal

maluję.

- ZauwaŜyłem.

Roześmiała się. To był dźwięczny, nieco zachrypnięty śmiech, który pasował do jej niskiego głosu.

- Jestem Zoe Fleming. - Kucnęła, Ŝeby zmoczyć szmatkę rozpuszczalnikiem. Podała mu ją, wskazując ruchem ręki na jego umazany policzek.

- Dziękuję. - Potarł szmatką policzek. - W ogłoszeniu napisano: „Od zaraz”.

- Myślałam, Ŝe zdąŜę do jutra, przecieŜ ogłoszenie miało się ukazać dopiero jutro.

Mieszka pan tu gdzieś w okolicy?

- Nie. Mieszkam w centrum. Szukałem czegoś przestronnego, z atmosferą.

- To całkiem spore mieszkanie. Dom przebudowano jakieś osiem lat temu. Właściciel podarował mieszkanie synowi, a kiedy zmarł, syn sprzedał je i przeniósł się do Kalifornii.

Chciał pisać scenariusze do sitcomów.

Coop podszedł do okna, Ŝeby ocenić widok.

Zoe obserwowała go i zauwaŜyła, Ŝe zwinnie się porusza, jak człowiek, który przez cały czas ma się na baczności. Kiedy na niego spadła z drabiny, odniosła wraŜenie, Ŝe jest silnym męŜczyzną. I ma silne ręce. I szybki refleks. Uznała, Ŝe moŜe przyda się tu męŜczyzna.

- Chce się pan wprowadzić sam, panie McKinnon? - Pomyślała ze smutkiem, Ŝe wolałaby, aby miał rodzinę, a najlepiej jakieś dziecko do zabawy z Keenanem.

- Sam. - Uznał, Ŝe to odpowiednie miejsce. Miło będzie wyprowadzić się z pudełka, które było jednym z wielu w bloku, i co jakiś czas poczuć zapach trawy. I dymu z grilla. -

Mogę się wprowadzić w weekend?

Nawet nie podejrzewała, Ŝe to będzie takie łatwe. Przygryzła wargę, kiedy o tym myślała. Dotąd nigdy nie wynajmowała mieszkania, ale poniewaŜ sama była lokatorką, więc sądziła, Ŝe się na tym zna.

- Proszę o czynsz za dwa miesiące.

- Zgoda.

- I referencje.

- Dam pani numer do administracji, która zarządza moim budynkiem. MoŜe pani takŜe zadzwonić do

działu kadr w gazecie. Czy ma pani umowę najmu do podpisania?

Nie miała. PoŹyczyła ksiąŹkę z biblioteki i zamierzała jutro rano skserować umowę.

- Będę ją miała jutro. Nie chce pan obejrzeć reszty mieszkania albo zadać jakichś pytań? - Od kilku dni przygotowywała się na taką sytuację.

- JuŹ je widziałem. W porządku.

- No cóŹ. - To trochę zbiło ją z tropu. - Wobec tego chyba mogę wycofać ogłoszenie.

Nagle rozległ się dziwny hałas, jakby tupot przypominający pędzenie słońia. Zoe zerknęła na otwarte drzwi i przykucnęła, Źeby złapać pocisk, który przez nie wpadł.

Przytuliła dziecko i Coop dopiero po chwili zorientował się, Źe to chłopiec. Miał

lśniące złote włosy, czerwone tenisówki i dŹinsy poplamione jakąś niezidentyfikowaną substancją. Trzymał plastikowe pudełko z rysunkiem jakiejś apokaliptycznej bitwy i białą kartkę papieru pobrudzoną na krawędziach.

- Narysowałem ocean - obwieścił. - Rekiny zjadły miliony ludzi.

- Okropne. - Zoe posłusznie zadrŹała, następnie przyjęła pocałunek. Odsunęła się od dziecka, Źeby podziwiać rysunek. - Jakie wielkie rekiny - powiedziała, próbując odróŹnić plamki przedstawiające ludzi od plamek przedstawiających rekiny.

- To rekiny potwory. Zmutowane rekiny potwory. Mają zęby.

- Właśnie widzę. Keenan, to pan McKinnon, nasz nowy lokator.

Keenan objął nogę Zoe i przyglądał się nieznanemu. Jego wzrok właśnie zmierzał

do twarzy przybysza, gdy nagle ujrzał jego podkoszulek i buzia mu się rozjaśniła.

- To baseball. Nauczę się. Mama kupi ksiąŹkę i mnie nauczy.

Książkę? Coop ledwie powstrzymał się od parsknięcia. Tak jakby moŹna było nauczyć się z książki najwspanialszej gry wymyślonej przez człowieka. Co za głupek był ojcem tego chłopca?

- Źwietnie. - Coop nie zamierzał mówić nic więcej. Zawsze uwaŹał, Źe nie naleŹy wdawać się w rozmowę z osobami, które nie ukończyły szesnastu lat.

Keenan miał jednak inne plany.

- Jeśli będzie pan tu mieszkał, to będzie pan musiał płacić czynsz. Wtedy spłacimy hipotekę i pojedziemy do Disneylandu.

Kim było to dziecko? Księgowym?

- No dobrze, staruszkę - roześmiała się Zoe i potargała jego włosy. - Sama dam sobie radę. Idź i pozbieraj swoje rzeczy.

- Czy Beth przyjdzie wieczorem pobawić się ze mną?

- Tak, przyjdzie. A teraz uciekaj. Za chwilę do ciebie zejdę.

- W porządku. - Ruszył do drzwi, ale zatrzymał się, kiedy go zawołała. Wystarczyło jedno jej spojrzenie i uniesiona brew, żeby sobie przypominał. Zerknął na Coopa i uśmiechnął się, szybko i radośnie. - Do widzenia panu.

Stado słoń znowu popędziło, a po chwili na dole trzasnęły drzwi.

- Zawsze robi wielkie wejście - powiedziała Zoe, odwracając się do Coopa. -

Wycucie dramatyzmu sytuacji ma po mojej matce. To aktorka, bardzo niekomercyjna. -

Przechyliła głowę i oparła bosą nogę na jednym ze stopni drabiny. - Ma pan taką minę, jakby zamierzał pan zmienić zdanie. Ma pan problem z dziećmi?

- Nie. - Dzieciak mógł nie wzbudzać jego entuzjazmu, ale Coop wątpił, żeby stanowił

jakiś problem. Chłopiec chyba nie będzie do niego przychodził w odwiedziny? A gdyby mimo wszystko tak się stało, mógł go przecież natychmiast odesłać do matki. - Nie, to Saden problem, mały jest, hm, bardzo miły.

- Rzeczywiście jest miły. Nie twierdzą, że to anioł, ale nie robi problemów. Jeśli będzie sprawiał panu kłopoty, proszę dać mi znać.

- Jasne. Przyjdę jutro podpisać umowę i przyniosę dla pani czek. Wezmę te klucze.

- W porządku.

- Przyjść o jakiejś konkretnej godzinie? Przez chwilę wydawała się zdezorientowana.

- A jaki jest jutro dzień?

- Piątek.

- Piątek? - Zamknęła oczy i zaczęła się zastanawiać. - Chyba pracuję między dziesiątą a drugą. - Otworzyła oczy i uśmiechnęła się szeroko. - Tak, jestem pewna. Może po wpół do trzeciej?

- Dobrze. Miło mi było panią poznać, pani Fleming. Uścisnęła jego wyciągniętą dłoń.

- Panno - powiedziała otwarcie. - Nie jestem mężatką. A ponieważ w pewnym sensie będziemy

mieszkać razem, proszę mówić mi Zoe.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nikt nie otwierał drzwi. Znowu? Coop zerknął na zegarek i zobaczył, że jest za piętnaście trzecia. Nie uważał się za człowieka ogarniętego obsesją czasu, ale jego życie kręciło się wokół nieprzekraczalnych terminów, więc nauczył się szanować czas. Tym razem na podjeździe nie było starego kombi, mimo to Coop powędrował na podwórze. Zanim zdołał

wspiąć się po schodach do mieszkania, zatrzymało go czyjeś wołanie dobiegające od strony płotu.

- Młody człowieku! Halo, młody człowieku!

Na sąsiednim podwórzu pojawiła się kobieta ubrana w kwiecistą sukienkę ze strzechą kręconych, ufarbowanych henną włosów okalających szeroką twarz. Kobieta podbiegła do płotu. Wyglądała jak tęcza, nie tylko z powodu jaskrawych włosów i hawajskiej sukni. Miała usta wymalowane czerwoną szminką, różowe policzki i lawendowe powieki.

Kiedy dotarła do płotu, przycisnęła upierścienioną dłoń do szerokiej piersi.

- Nie jestem już taka młoda jak kiedyś - powiedziała. - Nazywam się Finkleman.

- Witam.

- Pan jest tym młodym człowiekiem, który zamieszka na górze? - Pani Finkleman, urodzona flirciara, przyglądała loki. - Zoe nie mówiła, że jest pan taki przystojny. Kawaler?

- Tak - odparł ostrożnie Coop. - Panna Fleming miała się ze mną spotkać. Chyba nie ma jej w domu.

- Cała Zoe, raz tu, raz tam. - Pani Finkleman rozpromieniła się i oparła o płot, jakby przygotowując się na dłuższe ploteczki. - Robi naraz kilkanaście rzeczy. I sama wychowuje tego słodkiego chłopczyka. Ja tam nie wiem, co bym zrobiła bez swojego Harry'ego, kiedy na świat przyszedł nasz dzieci.

Coop był przede wszystkim rasowym reporterem. Jego zawód oraz fakt, że zainteresowała go panna Fleming, sprawiły, że nabrał ochoty na rozmowę.

- Ojciec dziecka w ogóle nie pomaga?

- Nigdy go tu nie widziałam - parsknęła pani Finkleman. - Z tego, co wiem, zmył się, kiedy dowiedział się, że Zoe spodziewa się dziecka. Zostawił ją bez środków do życia. Sama była wtedy niemal dzieckiem. Chyba nigdy nie widział chłopca. A to taki słodki maluch.

Coop uznał, że mówiła o Keenanie.

- Miły dzieciak. Ile ma lat? Pięć, sześć?

- Tylko cztery. Bystry jest. Teraz rosną jakieś mądrzejsze dzieci. Szybciej się uczą.

Ten maluch jest już w zerówce. Lada chwila wróci do domu.

- Mama po niego pojechała?

- Nie, w tym tygodniu ktoś inny ma dyżur. Chyba przyszła kolej na Alice Miller...

widzi pan ten biały dom z niebieskimi lamówkami, prawie na końcu ulicy? To jej dom. Ona ma chłopca i dziewczynkę. Skarby. Młodsza, Steffie, jest w wieku Keenana. A starszy, Brad, to ci dopiero dzieciak...

Kiedy zaczęła opowiadać o małym łobuziaku, uznał, że czas skończyć rozmowę.

- Może pani powie panie Fleming, że byłem? Zostawię telefon, pod którym mnie zastanie, kiedy...

- O Boże! - Pani Finkleman pomachała ręką. - Ale się zagadałam. Niemal zapomniałam, po co w ogóle tu przyszłam. Zoe zadzwoniła do mnie i poprosiła, żebym się panem zajęła. Ugrzęzła w kwiaciarni. Pracuje tam trzy razy w tygodniu. To „Bukiet kwiatów”, na Ellicott City. Miłe miejsce, ale drogie. Nie wiem, dlaczego teraz tyle sobie życzą za stokrotki.

- Ugrzęzła - przypomniał jej Coop - i co dalej?

- Jej zmienniczka miała kłopoty z samochodem, więc Zoe trochę się spóźni.

Powiedziała, żeby poszedł pan prosto do kuchni, gdzie zostawiła umowę i klucze.

- W porządku. Dziękuję.

- śaden problem. To przyjazna okolica. Zawsze ktoś komuś pomaga. Chyba Zoe nie powiedziała mi, czym się pan zajmuje.

- Jestem dziennikarzem. Redaguję kolumnę sportową dla „Doniesień”.

- Niemożliwe! Mój Harry uwielbia sport. Nie mogę odciągnąć go od telewizora, kiedy jest jakiś mecz.

- I dzięki temu ten kraj jest taki wielki.

Pani Finkleman roześmiała się i śartobliwie klepnęła w ramię Coopera. Takie klepnięcie na pewno posłałoby na ziemię słabszego mężczyznę.

- Wszyscy jesteście tacy sami. Może pan przyjść w każdej chwili i pogadać z Harrym o sporcie. A jeśli o mnie chodzi, to nie warto gadać o niczym poza baseballlem.

Coop, który już miał odejść, nagle się rozpromienił.

- Lubi pani baseball? - zapytał.

- Synku, urodziłam się w Baltimore. - Powiedziała to tak, jak gdyby to wszystko tłumaczyło. - Nasi chłopcy w tym roku nie dadzą plamy. Zobacz pan.

- Poradzą sobie, jeśli wezmą się do roboty. Potrzeba im tylko...

Przerwało mu radosne trąbienie. Zerknął przez ramię i ujrzał, jak Keenan wyskakuje z samochodu i pędzi przez podwórze.

- Dzień dobry panu. Dzień dobry, pani Finkleman. Carly Myers się przewróciła i wszędzie była krew. - Jego oczy zaśniły. - Mnóstwo krwi, a ona płakała i krzyczała, o tak.

- Wydał z siebie tak przeszywający wrzask, że Coopowi zdawało się, iż pękają mu bębni.

- Potem dostała taki śliczny plasterek, cały w gwiazdki. - Keenan pomyślał, że może warto byłoby stracić trochę krwi dla takiego wyróżnienia. - Gdzie mama?

- Moje jagniątko. - Pani Finkleman pochyliła się, żeby uszczypnąć go w policzek. -

Trochę dłużej dziś pracuje. Powiedziała, że może posiedzieć u mnie, zanim wróci do domu.

- Dobrze. - Keenan lubił odwiedzać sąsiadkę, bo zawsze dostawał ciasteczka, a pani Finkleman kołysała go na kolanach. - Tylko odłóż pudełko z lunchem.

- To taki dobry chłopiec - zagruchała pani Finkleman. - Tylko przyjdź zaraz. Może zaprowadzisz tego miłego pana, żeby mógł poczekać na twoją mamę?

- Dobrze.

Zanim Coop zdążył zrejterować, Keenan złapał go za rękę. Miałem rację, pomyślał

Coop i aż się skrzywił. Ręce chłopca były lepkie.

- Mamy ciasteczka - poinformował go Keenan, sprytnie wywnioskowawszy, że jeśli właściwie to rozegra, może dostać dwa razy tyle ciastek co zazwyczaj.

- Świetnie.

- Sami je upiekliśmy w wolny wieczór. - Keenan popatrzył na Coopa z nadzieją. - Są naprawdę smaczne.

- Nie wątpię. - Coop przytrzymał drzwi, zanim zdążyły się zatrzasnąć.

- Proszę. - Keenan wskazał ceramiczne naczynie w kształcie wielkiego złotego ptaka.

- Są tu, w Wielkim Ptaku.

- Dobrze, dobrze. - Skoro to wydawało się najlepszym sposobem na uspokojenie dzieciaka, Coop wyciągnął garść ciastek. Kiedy położył je na stole, oczy Keenana zrobiły się wielkie jak spodki. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

- Pan też może się poczęstować. - Wetknął całe czekoladowe ciastko w usta i uśmiechnął się szeroko.

- Takie to smaczne? - Coop wzruszył ramionami i też się poczęstował. Po pierwszym kęsie uznał, że dzieciak się nie myli. - Lepiej już idź do sąsiadki.

Keenan zjadł kolejne ciasteczko i wyraźnie ociągał się z wyjściem.

- Muszę umyć termos, bo jak się tego nie zrobi, to śmierdzi - powiedział.

- Dobrze. - Cooper usiadł przy stole, żeby przeczytać umowę, podczas gdy chłopiec przyciągnął stołek do zlewu.

Keenan nalał do termosu płyn do mycia naczyń. Gdy zauważył, że Coop nie patrzy, nalał go więcej. I jeszcze więcej. Odkręcił kurek z wodą i chichotał, kiedy płyn się pienił.

Przygryzł język, zatkał zlew i zaczął bawić się w zmywarkę.

Coop zupełnie o nim zapomniał podczas czytania umowy. Wyglądała na standardową.

Zoe już podpisała oba egzemplarze. Złożył obok swój podpis i zostawił na stole podpisany czek. Wziął klucze i już miał wsadzić swoją umowę do kieszeni, kiedy nagle dostrzegł

Keenana.

- O Boże.

Chłopiec był mokry od stóp do głów. Mydlane bańki zdobiły jego twarz i włosy. Pod stołkiem zdążyła się utworzyć całkiem spora kałuża.

- Co ty wyprawiasz?

Keenan spojrzał na niego przez ramię.

- Nic - uśmiechnął się niewinnie.

- Zobacz, wszędzie jest woda. - Coop rozejrzał się w poszukiwaniu ścierki.

- Wszędzie - zgodził się Keenan i uderzył rękami o powierzchnię wody. Natychmiast się rozchlapała.

- Przestań! Jezu! Czy nie powinieneś być teraz gdzie indziej? - Złapał ścierkę do naczyń i ruszył do chłopca, kiedy nagle na jego twarzy wylądował kolejny gejzer wody. -

Słuchaj, mały...

Usłyszał głośne trzaśnięcie frontowych drzwi. Jaka matka, taki syn, pomyślał.

- Keenan? - zawołała Zoe. - Mam nadzieję, że nie dorwałeś się do ciastek. Coop zerknął na okruszki na stole i na podłodze, pływające w rozlanej wodzie.

- O cholera - mruknął.

- O cholera - powtórzył Keenan i uśmiechnął się do niego. Zachichotał i radośnie podskoczył na stołku. - Cześć, mamo.

Zoe, trzymając spore naręcze irysów, rozejrzała się po kuchni. Z jej syna kapłała woda niczym z przemokniętego psa, kuchnia wyglądała tak, jakby przeszło przez nią niewielkie tornado. Tornado, które ma na imię Keenan, pomyślała. Nowy lokator był mokry, zmartwiony i uroczo zawstydzony. Jak chłopiec przyłapany z ręką w słoju z ciastkami, pomyślała, zerkając na wiele mówiące okruszki.

- Znowu bawiłeś się w zmywarce? - Ze spokojem, który zdumiał Coopa, odłożyła kwiaty. - Nie jestem pewna, czy to dla ciebie odpowiednia kariera.

Keenan zatrzepotał długimi, mokrymi rzęsami.

- Chciał ciastek - stwierdził.

Coop już miał zacząć się tłumaczyć, ale tylko zmarszczył brwi.

- Z pewnością. Idź do pokoju z pralką i zdejmij z siebie to mokre ubranie.

- Dobrze. - Zeskoczył ze stołka, jeszcze bardziej rozchlapując wodę. Zatrzymał się tylko na chwilę, żeby pocałować mamę, po czym zniknął za drzwiami.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała Zoe wyciągając korek ze zlewu, a następnie podeszła do kredensu po wazon.

Coop otworzył oczy. Już miał zacząć tłumaczyć co tu się zdarzyło, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że właściwie to nie wie.

- Podpisałem umowę - powiedział po prostu.

- Widzę. Mógłbyś tu nalać trochę wody? - Podała mu wazon. - Muszę iść po mopa.

- Jasne.

Coop pomyślał, że Zoe pewnie zbije tym mopem dzieciaka, i zrobiło mu się przykro.

Jednak że dźwięki dochodzące z pomieszczenia, w którym zniknęła, jakoś nie kojarzyły się z karą

cielesną. Słyszał chichot chłopca i głęboki śmiech jego matki. Stał z wazonem w dłoniach i zastanawiał się nad tym wszystkim.

- Stoisz w kałuży - zauważyła Zoe, kiedy wróciła z mopem i wiadrem.

- Faktycznie. - Coop zerknął na swoje mokre buty. - Masz tu wazon.

- Dziękuję. - Najpierw zajęła się kwiatami. - Słyszałam, że poznałeś już panią Finkiemann.

- Wiadomości szybko się rozchodzą.

- Tutaj tak.

Kiedy wręczyła mu ścierkę, aby wytarł sobie twarz, poczuł zapach Zoe - o wiele silniejszy i bardziej aromatyczny niż zapach kwiatów. Ubrana była w dżinsy i workowaty podkoszulek. Zauważył, że jej włosy mają dziwny odcień, coś pomiędzy ciemnoblonde a brązem. Związała je w kucyk.

Kiedy uniosła brwi, zdał sobie sprawę, że się na nią gapi.

- Przepraszam. To znaczy, przepraszam za bałagan.

- Też bawiłeś się w zmywarkę?

- Niezupełnie. - Nie mógł nie odwzajemnić jej uśmiechu, zignorować nagłego zainteresowania.

Pomyślał, że nie najgorzej mieć ładną gospodynię, dzielić z nią dom, może czasem posiłek. Albo...

- Mama! - W drzwiach stanął Keenan, goły jak święty turecki. - Nie mogę znaleźć majtek.

- W koszyku obok pralki - powiedziała, nie odrywając wzroku od Coopa. Zapomniał o dziecku i pozwolił sobie na fantazje, nie pamiętając, że ona nie jest sama.

Zabrzączał kluczami do nowego mieszkania.

- Mam w samochodzie trochę pudeł - powiedział. - Dziś po południu przyniosę rzeczy.

- Jasne. - Zoe pomyślała, że jest niemądra. Niemądrze zadrżało jej serce, gdy ujrzała w jego oczach zainteresowanie. I poczuła niemądre rozczarowanie, gdy to zainteresowanie zniknęło w chwili, gdy odezwał się Keenan. - Potrzebujesz pomocy?

- Nie, dam sobie radę. Muszę dziś iść na mecz, więc resztę przywiozę jutro. - Ruszył

ku drzwiom.

- Dzięki.

- Witam na pokładzie, panie McKinnon.

- Coop - powiedział przy wyjściu. - Mów mi Coop.

Coop, pomyślała i oparła się na kiju od mopa. Wynajęcie mieszkania na górze wydawało się takim dobrym pomysłem. Dodatkowe pieniądze rozwiązały trochę problemów i może przyniosą też jakieś korzyści. Na przykład będą mogli pojechać do Disneylandu, czego tak bardzo pragnął Keenan.

Kupno domu było ryzykiem, ale chciała, aby jej syn dorastał w przyjaznej okolicy, w domu z podwórkiem, i może także z psem, kiedy będzie trochę starszy. Czynsz za mieszkanie miał zmniejszyć to ryzyko.

Nie przyszło jej jednak do głowy inne ryzyko, bardziej osobiste. Nie zdawała sobie sprawy, jak kłopotliwe może okazać się mieszkanie z lokatorem, który jest kawalerem i na dodatek absolutnie boskim mężczyzną.

Roześmiała się do siebie. Śnij dalej, Zoe, pomyślała. J. Cooper McKinnon jest taki sam jak wszyscy, uciekłyby z wrzaskiem na odgłos dziecięcych kroków.

Coś załomotało w pomieszczeniu z pralką. Potrząsnęła głową.

- Chodź, Śęglarzu! - zawołała do Keenana. - Czas wyszorować pokład.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Całkiem niezła chałupa, Coop. Całkiem niezła. - Ben Robbins, reporter z

„Doniesień”, popijał piwo i rozglądał się po mieszkaniu Coopa. - Niezbyt mi się podobało, kiedy przywlekliśmy tu twoje graty, ale widzę, że jest nie najgorzej.

Było o wiele lepiej niż nie najgorzej i Coop dobrze o tym wiedział. Miał wszystko, czego pragnął. W pokoju gościnnym królowała długa, niska sofa ze skóry w kolorze burgunda oraz wielki telewizor, idealny do oglądania meczów. Wystroju wewnątrz dopełniały dwie miedziane lampy, stary stolik do kawy, zniszczony przez dziesiątki butów, które się na nim opierały, oraz duży fotel.

W pokoju znajdował się też miniaturowej wielkości kosz do koszykówki, gdyś

rzucanie do niego pomagało Coopowi lepiej się skupić. Stał tu także automat do pinballi, stojak z dwoma kijami do baseballu, tenisową raketą i kijem do hokeja. Para starych bokserskich rękawic wisiała na ścianie, a w miejscu do rekreacji królował stół do gry w piłkarzyki.

Coop nie nazywał swoich sprzętów zabawkami. To były narzędzia.

Do okien wybrał rolety, nie zasłony. Uznał, że rolety są odpowiedniejsze, kiedy człowiek ma ochotę na popołudniową drzemkę.

W sypialni stało tylko jego łóżko, szafka nocna i kolejny telewizor. Sypialnia służyła do snu albo - jeśli miał szczęście - do uprawiania innego rodzaju sportu.

Jednak najbardziej odpowiadało mu jego biuro. Już wyobrażał sobie, jak siedzi przed telewizorem lub komputerem, pochłonięty jakąś grą. Wstawił tam duże obrotowe krzesło, podniszczone, ale solidne biurko, faks, dwie linie telefoniczne i wideo - żeby móc odtwarzać najbardziej kontrowersyjne momenty w grze.

Z tymi wszystkimi przedmiotami, fotografiami i pamiątkami sportowymi czuł się zupełnie jak w domu.

W swoim domu.

- Tu jest jak w barze na rogu - powiedział Ben i wyciągnął krótkie, owłosione nogi. -

Takim ulubionym.

Coop uznał to za wspaniały komplement.

- Dobrze się tu czuję.

- Nic dziwnego - zgodził się Ben i wzniosł toast butelką. - To takie miejsce, w którym można się odprężyć, być sobą. Wiesz, odkąd zamieszkałem z Sheilą, wszędzie natykam się na jakieś małe, porcelanowe rzeczy i bieliznę wiszącą w łazience. Wczoraj wróciła do domu z nową pościelą w kwiaty. W różowe kwiaty. - Skrzywił się i wypił łyk piwa. - Zupełnie jakbym spał na łące.

- Ej She. - Z zadowoleniem człowieka wolnego, Coop oparł nogi na stoliku do kawy. -

Sam tego chciałeś.

- Tak, tak. Za bardzo za nią szaleję. A ona szaleje za Oakland. Jest ich fanką.

- Przy okazji, mówi się, że Asy sprzedadzą Remireza.

- Tak, tak, spróbuj z innej beczki - parsknął Ben.

- Tak mówią. - Coop wzruszył ramionami i łyknął piwa. - Zamieniają go na Dunbara i tego nowego polowego, Jacksona.

- Chyba oszaleli. Remirez zdobył w zeszłym sezonie dwieście osiemdziesiąt punktów.

- Dwieście osiemdziesiąt pięć - poprawił go Coop.

- No, a ten Dunbar ile? Dwieście dwadzieścia czy mniej?

- Dwieście osiemnaście, ale jest niesamowicie szybki. Nikt go nie pokona. No i ma możliwości. To wielki, silny chłopak ze wsi, pięści ma jak bochny chleba. Potrzebują świeżej krwi. Większość graczy ma już ponad trzydziestkę.

Spierali się o baseball i dokończyli piwo w zgodnej męskiej harmonii.

- Muszę iść na mecz.

- Dziś? Myślałem, że Orioles są do jutra w Chicago.

- Są. - Coop schował do kieszeni dyktafon i ołówek. - Idę na mecz do college'u. Mają tam jakiegoś świetnego trzeci ob azowego. Pomyślałem, że na niego zerknę, może przeprowadzę wywiad...

- Ale praca. - Ben dźwignął się z miejsca. - Chodzenie na mecze, szwendanie się koło szatni.

- Tak, to dopiero cięskie sycie. - Objął Bena ramieniem, kiedy wychodzili na zewnątrz. - Jak ci idzie ten artykuł o sterylizacji zwierząt? Odwiedziłeś już wszystkie schroniska?

- Daruj sobie, Coop, te niestosowne sarty.

- Niektórym z nas trafia się schronisko, innym mecze. Taki los dziennikarza.

Był przepiękny dzień. Słoneczny i rześki. Coop niemal wyczuwał zapach prażonych orzechów i hot dogów.

- Kiedy ty będziesz uganiał się za gromadą spoconych chłopaków, ja będę leżał w łóżku z kobietą - stwierdził Ben.

- Pod kołdrą w kwiaty.

- Tak, ale ona zawsze mówi, że kwiaty ją pobudzają. A ja mogę powiedzieć, że... o rany! O rany...

Kiedy kwadratowa szczeka Bena opadła, Coop się odwrócił. Wtedy i on otworzył

szeroko usta, a jego język najprawdopodobniej wylądował na butach.

Miała na sobie chyba najkrótszą spódnicę, jaką kiedykolwiek widział na kobiecie. Pod nią znajdowała się para niezwyklej długości nóg odzianych w siatkowe rajstopy. Idąc, kołysała się. Ale, jak miała się nie kołysać, jeśli włożyła czarne szpilki na nieprawdopodobnie wysokim obcasie?

Biały gorset odsłaniał całkiem spory fragment piersi i widok ten wywołał u Coopera gwałtowne napięcie w całym ciele.

Włosy, w kilku odcieniach, miała rozpuszczone. Opadały jej na ramiona. Kojarzyła mu się z dziką sarną przedzierającą się przez oświetlony słońcem las.

Zatrzymała się i coś powiedziała, ale umysł Coopa wyłączył się w chwili, gdy jego wzrok spoczął na jej nogach.

- ... czy już się zadomowiłeś.

- A... - Zamrugnął jak człowiek, który obudził się ze śpiączki. - Co?

- Powiedziałam, że nie miałam szansy sprawdzić, czy już się zadomowiłeś.

- Tak. - Zamknął usta i postanowił wziąć się w garść. - Jasne.

- To dobrze. Keenan się rozchorował, więc miałam mnóstwo roboty. Widziałam dwa dni temu, jak ciągniesz jakieś rzeczy po schodach.

- Ciągniesz - powtórzył. - A tak, Ben - powiedział nagle, kiedy przyjaciel szturchnął go łokciem.

- To Ben. Pomagał mi przy przeprowadzce.

- Cześć, Ben. Jestem Zoe.

- Cześć, Zoe - powiedział głupio Ben. - Jestem Ben.

Uśmiechnęła się tylko. Wiedziała, że to wszystko przez ten strój. Chociaż go nienawidziła, bawiło ją, gdy widziała, jak działał na niektórych przedstawicieli płci przeciwnej.

- Też pracujesz w gazecie?

- Tak, piszę artykuł o sterylizacji zwierząt.

- Naprawdę? - Było jej niemal żal Bena, tak bardzo drgała mu grdyka. - Na pewno go przeczytam.

- Uśmiechnęła się i ciepło spojrzała na Coopa.

- Cieszę się, że się zadomowiłeś. No, to cześć. Muszę iść do pracy.

- Wychodzisz? - spytał Coop. - W tym stroju?

Jej usta drgnęły.

- Zazwyczaj wkładam go, kiedy odwożę dzieci ze szkoły, ale pomyślałam, że pójdę w nim dziś do pracy. Do „Cienia”. Jestem kelnerką. Miło mi było cię poznać, Ben.

Poszła do samochodu. Nie, pomyślał Coop, popłynęła ku niemu, powolnymi, długimi krokami. Obaj wciąż za nią patrzyli, kiedy wyjechała z podjazdu i skręciła w ulicę.

- Twoja gospodyni - powiedział nabożnym szeptem Ben. - To była twoja gospodyni.

- Chyba tak.

Nie wyglądała tak, kiedy podpisywał umowę. Piękna? Może i była piękna, ale w taki zdrowy, nieciekawych sposób. Nie wyglądała tak... tak... Zabrakło mu słów. Przypomniał sobie, że przecież Zoe jest matką. Na litość boską, nie powinna tak wyglądać!

- Ona ma dziecko.

- Tak? Jakiego rodzaju?

- Chyba ludzkiego.

- Daj spokój.

- To chłopak - powiedział z roztargnieniem Coop. - Tego wzrostu. - Wyciągnął rękę na wysokość niespełna metra.

- MoŜe mieć dziecko, ale ma teŜ nogi. Tej długości. - Ben machnął ręką na wysokości swojego gardła. - Masz boskie Ŝycie, Coop. Mój gospodarz ma ramiona jak rugbysta i tatuaŜ

w kształcie jaszczurki. Twoja gospodyni wygląda jak modelka.

- Jest matką - mruknął pod nosem Coop.

- Cóż, chętnie bym do niej wpadł na mleko i ciasteczka. Do zobaczenia w pracy.

- Na razie. - Coop stał nieruchomo i marszczył brwi, wpatrując się w pustą ulicę.

Matki nie powinny tak wyglądać, pomyślał znowu. Powinny wyglądać... matczyńie.

Bezpiecznie. Niegroźnie. Odetchnął głęboko, a ucisk w jego brzuchu ustąpił.

Przypomniał sobie, Ŝe Zoe nie jest jego matką.

* * *

O północy Zoe nie czuła juŜ nóg. Bolały ją plecy i miała wraŜenie, Ŝe dźwiga cięŜary, a nie tace z drinkami. Odrzuciła sześć propozycji, z czego dwie były na tyle dobroduszne, Ŝeby ją rozbawić, a jedna na tyle obraźliwa, Ŝeby dŜentelmen zarobił siniaka na stopie, dzięki jej ostrym obcasom. Inne propozycje nie odbiegały od normy, więc je zignorowała.

To były uboczne skutki tej pracy i nie przejmowała się nimi przesadnie.

Bar zawdzięczał swoją nazwę temu, Ŝe panował w nim półmrok. Pomieszczenia urządzone w stylu lat pięćdziesiątych, a kelnerki były ubrane jak staroŜwieckie, głupiutkie ulicznice.

Jednak napiwki były spore, a klientela - w większości - nieszkodliwa.

- Dwa domowe wina, białe, „Czarnego Ruska” i słabą kawę. - Przekazawszy zamówienie barmanowi, Zoe zaczęła rozmasowywać sobie ramiona.

Miała nadzieję, Ŝe Beth bez problemu zdołała połoŜyc Keenana do łóŜka. Cały dzień źle się czuł - miał potworny katar. Strasznie się rano awanturował, kiedy wspomniała, Ŝe mógłby iść do szkoły.

Nie ma tego po mnie, pomyślała. Nigdy nie próbowała wykręcać się od pójścia do szkoły. Teraz, w wieku dwudziestu pięciu lat, gorzko Śałowała, Śe zaniedbała edukację.

Gdyby wybrała się na studia, mogłaby się czegoś nauczyć, zrobić karierę. Niestety, miała jedynie maturę i mogła tylko podawać drinki męŚczyznom, którzy nie odrywali wzroku od jej biustu.

Nie naleŚała jednak do kobiet, które rozpaczają. Zrobiła, co zrobiła i dostała za to najwspanialszą nagrodę. Keenana. Za kilka lat zamierzała zaoszczędzić na tyle duŚo pieniędzy, Śeby rzucić pracę kelnerki i zapisać się na jakiś kurs wieczorowy. Kiedy juŚ

skończy kursy biznesowe, otworzy własną kwiaciarnię i Keenan nie będzie musiał przesiadywać z opiekunkami.

Podawała drinki, przyjęła zamówienie od kolejnego stolika i pomyślała z ulgą, Śe juŚ za parę minut będzie przerwa.

Kiedy zobaczyła wchodzącego Coopa, natychmiast pomyślała o Keenanie. Niepokój jednak minął tak szybko, jak się pojawił, gdy Coop spokojnie rozejrzał się po lokalu. Kiedy ich oczy się spotkały, skinął jej głową i zaczął przeciskać się między gęsto ustawionymi stolikami, idąc w jej kierunku.

- Pomyślałem, Śe wpadnę na drinka.

- To odpowiednie miejsce. Chcesz usiąść przy barze czy przy stoliku?

- Przy stoliku. Masz minutę?

- Za chwilę będę miała ich piętnaście. A co?

- Chciałbym z tobą porozmawiać.

- Dobrze. Co ci przynieść?

- Czarną kawę.

- Czarną kawę. Usiądź.

Patrzył, jak szła do baru i starał się nie myśleć o tym, jak atrakcyjnie wyglądała. Nie przyszedł tutaj na drinka, tylko uznał, Śe ta miła kobieta nie pasuje do tego stroju... Chciał

powiedzieć, wystroju.

Weź się w garść, Coop, pomyślał. Był zbyt dojrzały, aby długie nogi mąciły mu rozum. Przyszedł tu tylko po to, aby zadać kilka pytań, mieć pełny obraz. Tak zarabiał na Śycie i był w tym dobry. Podobnie dobry był w rozkładaniu gry na czynniki pierwsze i znajdowaniu małych triumfów i małych błędów, które wpływały na wynik.

- Mam dziś pracowity wieczór. - Zoe postawiła dwie kawy na stoliku i usiadła na krześle naprzeciwko Coopa. Odetchnęła głęboko, a następnie uśmiechnęła się do niego. -

Usiadłam po raz pierwszy od czterech godzin.

- Myślałem, że pracujesz w kwiaciarni.

- Owszem, pracuję w kwiaciarni, ale tylko trzy razy w tygodniu. - Zdjęła pantofle ze spuchniętych stóp. - A gdy zbliża się Dzień Matki, Gwiazdka czy Wielkanoc, to nawet więcej. - Upiła łyk bardzo słodkiej kawy. - To niewielka kwiaciarnia i Fred, właściciel, zatrudnia tylko dwoje pomocników na pół etatu. Dzięki temu nie musi płacić świadczeń socjalnych.

- To wstrętne.

- Ale to dobra praca. Lubię ją. Lubię także Freda i Marthę, jego siostrę. Dużo mnie nauczyli o kwiatach i roślinach.

Ktoś wrzucił ćwierć dolara do grającej szafy. Pomieszczenie wypełniło się muzyką.

Coop pochylił się nad stołem, żeby Zoe mogła go słyszeć. Przez chwilę, gdy patrzył w jej wielkie brązowe oczy, stracił wątek.

- Czy ja już cię kiedyś widziałem? - spytał ją.

- W mieszkaniu.

- Nie, chodzi mi o to... - Pokręcił głową i zostawił ten temat. - Hm, dlaczego tutaj?

- Co dlaczego tutaj?

- Dlaczego tutaj pracujesz? Zamrugła, a jej długie rzęsy zatrzepotały.

- Dla pieniędzy - odparła.

- Jakoś nie wyglądasz na kogoś, kto powinien pracować w takim barze.

- Słucham? - Zoe nie wiedziała, czy powinna się roześmiać, czy obrazić. Wybrała to pierwsze, gdyż była raczej pogodna z natury. - Masz coś przeciwko kelnerkom?

- Nie, skąd. Chodzi o to, że jesteś matką.

- Owszem. Na dowód tego mam syna. - Roześmiała się i oparła brodę na złożonych dłoniach.

- Uważasz, że powinnam raczej siedzieć w domu i piec ciasteczka albo robić szal na drutach?

- Nie. - Było mu wstyd, że tak właśnie uważał.

- Ale ten strój - wykrztusił. - I to, jak patrzą na ciebie ci wszyscy mężczyźni...

- Jeśli kobieta wkłada na siebie coś takiego, mężczyźni się gapią. I tylko gapią -

dodała. - Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, to wiedz, że nie ubieram się tak na spotkania komitetu rodzicielskiego.

Z każdą chwilą czuł się coraz bardziej zażenowany.

- Posłuchaj, to nie moja sprawa. Po prostu mam zwyczaj zadawać pytania. Wydaje mi się, że mogłabyś znaleźć coś lepszego. Masz tę kwiaciarnię i pieniądze z wynajmu mieszkania...

- I hipotekę, i syna, który co tydzień wyrasta z ubrania i butów, raty za samochód, rachunki ze sklepów i od lekarza.

- Lekarza? Czy Keenan jest chory?

Zoe przewróciła oczami. Kiedy już zaczynała się denerwować, zdołał ją rozbroić.

- Nie. Dzieci w wieku Keenana zawsze przynoszą ze szkoły takie czy inne zarazki.

Muszą co pewien czas spotykać się z pediatrą, z dentystą. To kosztuje.

- No, ale przecież istnieje pomoc. Zasiłki... - Urwał, kiedy ujrzał złość w jej oczach.

- Sama potrafię zarobić na życie i zająć się swoim dzieckiem.

- Nie chciałem...

- Może nie mam studiów ani specjalnych umiejętności, ale sama potrafię za siebie płacić i mojemu synowi niczego nie brakuje. - Wsunęła stopy w pantofle na wysokich obcasach i wstała. - Dobrze sobie radzimy i Saden wścibski reporter nie będzie mi mówił, jaką mam być matką. Kawa na mój rachunek, palancie!

Kiedy odeszła od stolika, odetchnął głęboko. Świetnie ci poszło, Coop, pomyślał.

Zastanawiał się, czy rano znajdzie wymówienie przyklejone do drzwi swojego mieszkania.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie wyrzuciła go. Myślała o tym, ale uznała, że satysfakcja, jaką by jej to przyniosło, nie mogła się równać z czynszem. Poza tym już wcześniej to wszystko słyszała.

Jednym z powodów, dla których przeprowadziła się tu z Nowego Jorku, było to, że straszliwie zmęczyła ją rodzina i zanudzili przyjaciele powtarzający jej, jak powinna żyć. I wychowywać syna.

W Baltimore zaczynała wszystko od początku.

Miała wystarczająco dużo pieniędzy, żeby kupić trzypokojowe mieszkanie i zainwestować resztę.

Ponieważ chętnie i dużo pracowała, ani przez chwilę nie była bezrobotna. Z przykrością oddała Keenana do przedszkola. Ale on się z tego cieszył. Po matce odziedziczył talent do zaprzyjaźniania się z ludźmi.

Teraz, dwa lata po przeprowadzce, miała dom z ogrodem w takiej okolicy, jakiej zawsze pragnęła dla swojego syna. I sama za to wszystko zapłaciła.

Zoe przestawiła kosiarkę i zaczęła przycinać trawę. Swoją trawę, pomyślała i zacisnęła zęby.

Zbyt wielu ludzi mówiło jej, że jest szalona, zbyt młoda, że marnuje sobie życie.

Udowodniła, że się mylili. Miała dziecko, nie pozbyła się go, a teraz robiła wszystko, żeby zapewnić mu przyzwoite życie. Ona i Keenan nie byli statystyką. Byli rodziną.

Nikt nie musiał się nad nimi litować ani ofiarowywać im jałmużny. Ona zajęła się wszystkim, krok po kroku. I miała plany. Wielkie, poważne plany...

Czyjeś klepięcie w ramię sprawiło, że aż podskoczyła. Kiedy odwróciła głowę i zobaczyła, że stoi za nią Coop, jej dłonie zacisnęły się mocniej na uchwycie kosiarki.

- Co?

- Chcę przeprosić! - wrzasnął. Kiedy wpatrywała się w niego bez słowa, pochylił się i wyłączył silnik. - Chciałem przeprosić - powtórzył. - Wczoraj zachowałem się niewłaściwie.

- Doprawdy?

- Jestem uzależniony od wtykania nosa w sprawy innych ludzi.

- Może powinieneś się jednak opanowywać. - Sięgnęła po sznur, aby znów uruchomić kosiarkę, ale jego dłoń zamknęła się na jej ręce. Wpatrywała się w nią przez chwilę. Miał

wielkie dłonie, szorstkie. Przypomniła sobie, że wcześniej zrobił na niej wrażenie silnego, energicznego człowieka. A teraz jego dłoń wydała się jej jakaś taka delikatna i łagodna.

Już od bardzo dawna nie dotykała dłoni mężczyzny. Nie chciała ich dotykać.

- Czasem przyciskam niewłaściwe guziki - ciągnął Coop. On tak że wpatrywał się w ich dłonie i myślał, jak mała wydaje się jej ręka. I jaka miękka. - Przez to raz czy dwa oberwałem. - Uśmiechnął się, kiedy na niego popatrzyła.

- To mnie nie dziwi.

Nie odpowiedziała mu uśmiechem, ale wyczuł, że złagodniała. Dziś rano obudził go ryk kosiarki. Kiedy wyjrzał i zobaczył, że Zoe idzie za nią w workowatych szortach, chciał

wracać do łóżka. Pomyślał jednak, że musi z nią porozmawiać.

Tylko po to, żeby zapanował rozejm, pomyślał. W końcu musiał przecieś z nią być pod jednym dachem. W pewnym sensie.

- Nie chciałem cię krytykować. Interesujesz mnie. A tak? Twój syn - dodał szybko. -

Może ten twój wczorajszy strój sprawił, że przycisnąłem niewłaściwe guziki.

Zoe uniosła brwi. Uznała, że to uczciwe wytłumaczenie.

- No dobrze. Nic strasznego się nie stało. Poszło łatwiej, niż oczekiwał. Coop uznał, że posunie się jeszcze dalej.

- Posłuchaj, muszę być dzisiaj na meczu. Może chciałabyś pójść ze mną? To piękny dzień na rozgrywki baseballu.

Nie mogła zaprzeczyć. Rzeczywiście, było ciepło i słonecznie, wiał miły, orzeźwiający wietrzyk. Powinna się zgodzić. Istniały gorsze sposoby na spędzenie popołudnia niż wyprawa na mecz z atrakcyjnym mężczyzną, który za wszelką cenę starał się jej podlizać.

- Może byłoby miło, tylko że muszę pracować. Ale Keenan na pewno się ucieszy. -

Patrzyła, jak opada mu szczeka i uśmiechnęła się szeroko.

- Keenan? Chcesz, żebym go zabrał?

- On i tak nie ma nic do roboty. Niektóre dzieciaki grają na swoich podwórkach i pozwalają mu biegać po piłkę. Nigdy jednak nie widział prawdziwego meczu, chyba że w telewizji. - Uśmiechnęła się prostodusznie, chociaż miała ochotę wybuchnąć śmiechem.

Niestety, nie wiedziała, co sobie myśli Coop.

- Nie bardzo znam się na dzieciach - powiedział, próbując ostrożnie się wycofać.

- Ale znasz się na sporcie. Byłoby wspaniale, gdyby Keenan mógł obejrzeć pierwszy mecz w towarzystwie eksperta. O której wychodzisz?

- Za... Za kilka godzin.

- Przygotuję go. To bardzo miło z twojej strony. - Kiedy się nie poruszył, nachyliła się i pocałowała go w policzek. Następnie uruchomiła kosiarkę i ruszyła przed siebie.

Coop stał nieruchomo jak drzewo, kiedy odchodziła. Co, do diabła, miał robić z dzieckiem przez całe popołudnie?

* * *

Kupił popcorn, hot dogi i ogromne kubki z napojami. Uznał, że Keenan zajmie się jedzeniem i nie

będzie nic mówił. W drodze do Camden Yards dzieciak podskakiwał na siedzeniu samochodu, a kiedy przybyli na miejsce, wybałuszał oczy na wszystko.

Coop słyszał: „Co to?” i „Jak to?” tyle razy, że stracił rachubę. Zdenerwowany jak diabli, usiadł na miejscu dla dziennikarzy razem ze swoim laptopem.

- Możesz spoglądać tu przez szybę - pouczył Keenana. - I nie przeszkadzaj nikomu, bo wszyscy tu pracują.

- Dobrze. - Niemal pękając od nadmiaru entuzjazmu, Keenan ścisnął mocniej swojego hot doga.

Na miejscach dla dziennikarzy zgromadziło się sporo osób, niektóre przysły z komputerami, jak Coop, inne ze słuchawkami. Wiele osób się do niego uśmiechnęło i prawie wszyscy przywitali się z Coopera. Keenan wiedział, że Coop jest ważny. Tak jak prosiła mama, nie odstępował Coopa ani na krok i o nic nie prosił, chociaż na stoiskach sprzedawali bardzo fajne rzeczy. Mama dała mu całe pięć dolarów i powiedziała, że może kupić sobie pamiątkę. Było tu jednak tak wiele rzeczy, że nie wiedział, co wybrać. Coop chodził tak szybko, że Keenan nawet nie miał czasu przyjrzeć się pamiątkom.

Ale to wszystko nie miało znaczenia, bo był na prawdziwym meczu.

Szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w boisko. Było większe, niż sobie wyobrażał. Wiedział, gdzie stanie miotacz, i rozpoznał bazę, ale całej reszty nie był pewien.

Na wielkiej tablicy pojawiły się obrazki i słowa, których nie umiał przeczytać. Na stadionie było teraz więcej ludzi niż kiedykolwiek przedtem widział.

Kiedy gracze ustawili się na boisku, Keenan popatrzył na nich z ogromnym podziwem. Zagrano hymn narodowy, więc chłopiec wstał, tak jak go nauczono.

Coop zerknął na niego i zobaczył, że malec stoi z hot dogiem w ręce i szerokim uśmiechem na twarzy. Nagle przypomniał sobie swój pierwszy mecz. Przy pomnił sobie, jak niespokojnie ścisnął dłoń ojca, jak jego oczy usiłowały ujrzeć wszystko naraz, jak jego serce było pełne radości.

Kiedy gracze zajęli pozycję, Coop pochylił się i zmierzwił jasne włosy Keenana.

- Fajnie, co? - zapytał.

- Tak. Jeszcze nigdy nie widziałem tylu ludzi. To nasi gracze, prawda?

- Tak, to są nasi. Przyłóż tamtych.

Keenan zachichotał i wychylił się, żeby lepiej widzieć pierwsze uderzenie.

- Przyłóż - powtórzył z podziwem.

Wbrew oczekiwaniom Coopa, nie kręcił się, nie jęczał i w ogóle nie sprawiał

kłopotów. Coop przyzwyczał się do pracy w hałaśliwym otoczeniu, więc bezustanne pytania chłopca niespecjalnie mu przeszkadzały. Pomyślał, że przynajmniej dzieciak ma na tyle rozumu, żeby pytać.

Pomiędzy rundami Keenan zerkał przez ramię Coopa na słowa, które pojawiały się na ekranie komputera. W pewnej chwili zapaćkał musztardą rękaw Coopa. Nie była to jednak jakaś straszna katastrofa.

Coop poczuł się nawet dumny, kiedy spiker w pewnej chwili zawołał Keenana i pozwolił mu przez jedną rundę siedzieć na swoich kolanach.

Większość dzieci biegałaby w kółko i domagała się słodczy. To dziecko jednak naprawdę przyszło tu na mecz.

- Dlaczego on nie biegł przez całą drogę? Dlaczego? - Keenan przestępował z nogi na nogę. Musiał iść do toalety, ale nie chciał stracić ani minuty.

- Uderzenie poszło na drugą bazę, więc musiał zejść z boiska - wyjaśnił Coop. -

Drugobazowy złapał piłkę i zwolnił pole.

- Zwolnić pole - powtórzył Keenan.

- Po tym rzucie Orioles mają przewagę jednego punktu. Zważywszy na kolejność miotaczy, pewnie teraz wstawią kogoś leworęcznego.

- Leworęcznego?

- Miotacza, który rzuca lewą ręką. Pewnie to będzie Scully. - Spojrzał na chłopca i ujrzał, że Keenan trzyma się za krocze. - Jakiś problem?

- Nieee.

- Chodźmy do kib... do toalety. - Wziął Keenana za rękę i modlił się, żeby nie było za późno. Kiedy wchodzili do toalety, ogłoszono, że Scully wybiega na boisko.

- Tak jak mówiłeś. - Keenan popatrzył na Coopa z podziwem. - Jesteś mądrzejszy od wszystkich.

Coop poczuł, że na jego twarzy pojawia się uśmiech.

- Powiedzmy, że się na tym znam.

* * *

Kiedy dotarli do domu, Keenan miał na sobie nową koszulkę Orioles, a w małej rękawicy baseballowej trzymał podpisaną przez graczy piłkę. W drugiej ręce ścisnął

proporzec, którym wymachiwał, wspinając się po schodach.

- Patrz! Patrz, co Coop mi załatwił! - krzyknął do mamy, która wróciła zaledwie chwilę wcześniej. - Poszliśmy do szatni z prawdziwymi graczami, a oni podpisali mi piłkę.

Na pamiątkę!

- Zobaczmy. - Wzięła piłeczkę i przyjrzała się jej uważnie. - To wyjątkowa pamiątka, Keenan.

- Zatrzymam ją na zawsze. I dostałem teŜ taką koszulkę, jaką oni noszą. I rękawicę.

Pasuje.

- No pewnie. - Zoe poczuła wzruszenie. - JuŜ teraz wyglądasz tak, jak gdybyś był gotów grać w baseball.

- Będę grał na trzeciej bazie, bo tam... bo tam...

- Najwięcej się dzieje - pomógł mu Coop.

- No właśnie. Mogę to pokazać panu Finkiemanowi? Mogę mu pokazać moją piłkę?

- Pewnie.

- Ale się zdziwi. - Keenan odwrócił się i objął nogę Coopa. - Dziękuję, dziękuję, Œe mnie zabrałeś. Bardzo mi się podobało. Pójdziemy jeszcze kiedyś z mamą?

- Tak, chyba tak. Pewnie. - Znowu poczuł się niezręcznie i poklepał Keenana po głowie.

- Fajnie! - Keenan uścisnął jego nogę i wybiegł, Œeby pochwalić się swoimi skarbami.

- Nie musiałeś mu tego wszystkiego kupować - powiedziała Zoe. - Wystarczyło, Œe go zabrałeś.

- To nic takiego. Zresztą o nic nie prosił. - Coop wsadził ręce do kieszeni. - Ale tak bardzo chciał poznać graczy... No i jedno doprowadziło do drugiego.

- Wiem. Słyszałam, Œe nasza druŜyna wygrała.

- Tak. Jednym punktem. Wrócilibyśmy wcześniej, ale musiałem wstąpić do redakcji i zostawić notatkę.

- Sama dopiero przed chwilą wróciłam. - Pod wpływem impulsu podeszła do niego, objęła go i uścisnęła. Ręce Coopa znieruchomiały w kieszeniach. - Jestem ci winna przysługę.

Podarowałaś mu wspaniały dzień. On tego nie zapomni. - Odsunęła się. - Ja takŜe.

- To nic wielkiego. Po prostu pokręcił się trochę po miejscach dla prasy.

- To coś bardzo wielkiego, zwłaszcza Œe cię w to wrobiłam. - Roześmiała się i szybkim ruchem

głowy odrzuciła włosy do tyłu. - Dziś rano przejrzałam cię na wylot, Coop.

Pomysł ciągnięcia za sobą czterolatka na mecz w pierwszej chwili po prostu cię przeraził. Ale świetnie się spisałeś, naprawdę świetnie. Tak czy inaczej... przepraszam - powiedziała, kiedy zadzwonił telefon. - Halo? O, witaj. Cześć, Stan. Dziś wieczorem? Ale to nie moja kolej. -

Westchnęła głęboko i przysiadła na oparciu fotela. - Zawiadomię cię. Nie, Stan, nie powiem ci tego teraz. Muszę sprawdzić, czy zdołam znaleźć opiekunkę. A więc za godzinę. Tak, rozumiem, Œe masz problem. Oddzwonię.

- Jakies kłopoty?

- Hmm... Dwie kelnerki zachorowały. Brakuje ludzi. - JuŜ wykrecała kolejny numer. -

Dzień dobry, pani Finkleman. Tak, wiem. Świetnie się bawił. Uhm. - Zoe obserwowała Coopa, podczas gdy pani Finkleman tłumaczyła jej, jak waŒny jest męŒczyzna w Œyciu małego chłopca. - Jestem pewna, Œe ma pani rację. Zastanawiałam się, czy jest pani wolna dziś wieczorem. O, rzeczywiŒcie, zapomniałam. Nie, to nic waŒnego. Œyczę miłej zabawy.

Zoe odłoŒyła słuchawkę i wydeła usta.

- To ich wieczór gry w bingo - poinformowała Coopa. - Beth ma randkę. MoŒe Alice...

- Sięgnęła po słuchawkę, ale znieruchomiała i potrząsnęła głową.

- Nie, dziś spodziewa się teściów na kolacji. - Jej oczy nagle zaŒniły. - Nie miałeŒ problemów z Keenanem, prawda?

- Nie - odparł ostroŒnie Coop, Œwiadom kolejnej pułapki. - Był w porządku.

- Stan nie potrzebuje mnie do dziewiątej. Keenan chodzi spać o ósmej, więc nie będziesz musiał nic robić, tylko się tu pokręcisz i pooglądasz telewizję.

- Mam się kręcić, kiedy ty będziesz pracowała. - Cofnął się o krok. - Ja i dziecko... Ja jako opiekunka? Posłuchaj...

- Zapłacę ci. Beth dostaje dwa dolary za godzinę, ale podwyŒszę stawkę.

- Nie chcę twoich pieniędzy, Zoe.

- To urocze. - UŒmiechnęła się, wzięła jego rękę i uŒcisnęła ją. - To naprawdę bardzo miło z twojej strony. GdybyŒ mógł przyŒć koło wpół do dziewiątej...

- Nie mówiłem, Œe...

- MoŒesz poczęstować się, czym zechcesz. Upiekę trochę ciasteczek, jeśli będę miała czas. Lepiej zaraz zadzwonię do Stana, zanim zdoła wyrwać sobie resztkę włosów z głowy. -

Podniosła słuchawkę i uśmiechnęła się do Coopa. - Teraz jestem ci winna dwie przysługi.

- Tak, zgadza się. - Wyszedł, zanim ta liczba zdążyła wzrosnąć do trzech.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przez następnych kilka godzin Coop zajął się swoim cotygodniowym felietonem do rubryki „Piłka w grze”. Pomyślał, że dzieciak natchnął go nowymi pomysłami. Pierwsza wizyta na boisku, przekazywanie tradycji, jednoczące ludzi kibicowanie, odgłos kija, skorupki orzeszków...

Coop uznał, że to dobry felieton. Nie miał żadnych problemów z jego napisaniem.

Pomyślał, że skoro zawdzięcza pomysł Keenanowi, to może przynajmniej pokręcić się trochę na dole i zjeść ciastka, podczas gdy chłopiec będzie spał.

Zszedł na dół w chwili, gdy Zoe wychodziła z kuchni.

Nie była wcale pewna, czy Coop przyjdzie. Wiedziała, że znowu go wrobiła, i choć najpierw ją to bawiło, później poczuła się winna. Ale jednak przyszedł, w samą porę, i stał na dole schodów.

- Zapędziłam cię w kozi róg... - zaczęła.

- Owszem. - Wyglądała na tak przygnębioną, że musiał się uśmiechnąć. - Masz do tego prawdziwy talent.

Wzruszyła ramionami i odwzajemniła uśmiech.

- Czasami bezczelność to jedyny sposób, żeby załatwić sobie pewne rzeczy, ale zawsze po tym źle się czuję. Naprawdę upiekłam ciastka.

- Czułem je na górze.

Dziwne, pomyślał, chociaż miała na sobie ten sam kelnerski strój, nie wyglądała tak oszłamiająco. Może z wyjątkiem tej muszki, uznał. Jego libido reagowało na widok czarnej muszki wokół smukłej, białej szyi.

- Wpuścisz mnie, czy mam tu tak stać?

- Za każdym razem, kiedy proszę kogoś o przysługę, ogarnia mnie poczucie winy -

wyjaśniła mu. - To miło z twojej strony, że zabrałeś Keenana na mecz, zwłaszcza że...

- Zwłaszcza że zaprosiłem ciebie?

Znowu wzruszyła ramionami. Ponownie popatrzył na nią w ten typowo męski sposób, a jej ciało nie potrafiło na to nie zareagować. Pomyślała, że będzie lepiej, jeśli natychmiast wyjaśni mu swoje zasady.

- Nie umawiam się z mężczyźnami. Powinnam ci to od razu powiedzieć.

Ledwo powstrzymywał się, żeby nie dotknąć ręką muszki. Miał ochotę za nią pociągnąć.

- W ogóle?

- Tak jest łatwiej. Nie interesuje ich Keenan, albo udają, że ich interesuje, żeby mogli mnie zaciągnąć do łóżka. - Kiedy zakłócił się na obcasach i odchrząknął, wybuchnęła śmiechem. - Nie widzą tylko, że potrafię przejrzeć ich na wylot. Bo widzisz, ja i Keenan stanowimy drużynę. Jako dziennikarz sportowy powinienś wiedzieć, co to znaczy.

- Pewnie, że wiem.

- Tak czy inaczej, podarowałaś mu naprawdę wspaniały dzień, a ja czuję się tak, jak gdybym wykręcała ci rękę.

Po chwili uznał, że nie robiła tego celowo. Oszustka nie mogłaby mieć tyle szczeroci w twarzy. Coop poczuł się trochę winny, bo faktycznie myślał wcześniej o tym, żeby ją zaciągnąć do łóżka.

- On już śpi, prawda?

- Tak. Ten dzień bardzo go wyczerpał.

- A więc zjem twoje ciastka i pooglądam telewizję. Nic wielkiego.

I w tym momencie uśmiechnęła się radośnie, pięknie, co sprawiło, że zaschło mu w gardle.

- Obok telefonu zostawiłam na wszelki wypadek numer klubu. Finklemanowie pewnie wrócą do domu koło jedenastej. Pani Finkleman może przyjść cię zmienić, jeśli zechcesz.

- Zobaczymy.

- Dziękuję, naprawdę ci dziękuję. - Cofnęła się do kuchni, żeby go przepuścić. -

Kończę pracę o drugiej.

- Sporo pracujesz.

- Jutro mam wolne. - Złapała torebkę i rozejrzała się wokół siebie. - Czuj się jak w domu, dobrze?

- Jasne. Do zobaczenia.

Wypadła przed dom, a jej nieprawdopodobnie seksowne obcasy zastukały na chodniku. Coop odetchnął głęboko i postanowił się rozgościć. Dama właśnie ustanowiła reguły gry. Zabawa była wykluczona.

Miała głos syreny, twarz miss piękności, ciało bogini i nogi, które potrafiły skusić najbardziej

odpornego mężczyznę, ale głęboko w sercu była przede wszystkim matką.

Coop westchnął ciężko i postanowił pocieszyć się talerzem ciastek.

* * *

Burza zaczęła się tuż przed północą. Coop wziął sobie do serca słowa Zoe i czuł się u niej jak u siebie w domu. Wyciągnął się na jej sofie, na poduszkach, a nogi oparł o stolik do kawy. Zdrzemnął się w trakcie oglądania starego filmu o drugiej wojnie światowej i śnął

jedynie, że nie przyniósł sobie z góry dwóch piw.

Zoe miała tylko mleko, sok i jakiś niezidentyfikowany zielony płyn.

Trochę pomyszkował po mieszkaniu - taką miał naturę. W całym domu panował

bałagan, ale zaczynał dostrzegać w nim jakiś klucz. Z pewnością nie była pedantką, ale przez ten ogólny brak porządku dom wydawał się wygodny, wręcz przytulny. Coop nie był pewien, czy to zamierzony rezultat, czy też ów przytulny bałagan wynikał z tego, że Zoe miała dwie prace i małego syna.

Z wypożyczonych książek, które leżały tu i tam, dowiedział się, że w wolnym czasie czytała o kwiatach, naprawach samochodów, podatkach i zarządzaniu.

Nie mógł powstrzymać się od myśli, że ta wspaniała kobieta strasznie się marnuje, zagrzebując się w poradnikach i beznadziejnych pracach na pół etatu.

To jednak nie była jego sprawa.

Piorun za oknem pasował do artylerii na ekranie telewizora. Coop uznał, że cała ta opieka nad dzieckiem to nic trudnego.

Wtedy usłyszał wycie.

Komandosi nie wyją, pomyślał z roztargnieniem, zwłaszcza podczas rozprawy z Niemcami. Ziewnął, pokręcił szyją, a coś mu w niej trzasnęło, i zauważył Keenana.

Chłopiec stał na dole schodów, ubrany w piżamę z Batmanem, i przyciskał do siebie zniszczonego pluszowego pieska. Łzy spływały mu po twarzy.

- Mama! - Jego głos był ostry, piskliwy. - Gdzie moja mama?

- W pracy. - Coop wyprostował się na sofie i popatrzył na niego bezradnie. - Coś nie tak?

Nagle błyskawica oświetliła pokój. Kiedy rozległ się grzmot, Keenan zawył niczym upiór i wylądował na kolanach Coopa.

- Boję się! Tam są potwory! Chcą mnie porwać! Boję się!

- Hej... - Coop niezręcznie poklepał głowę przyciśniętą do swojej piersi. - To tylko burza.

- Potwory - szlochał Keenan. - Chcę do mamy... do mamy!

- Ale ona... - Już miał zakląć, ale w porę się powstrzymał. Biedny chłopiec drżał.

Coop instynktownie go pogłaskał. - Nie lubisz burzy, co?

Keenan mógł tylko pokręcić głową i jeszcze bardziej ukrył twarz.

- Burze są jak fajerwerki. No wiesz, takie na czwartego lipca, albo kiedy twoja drużyna zwycięży w mistrzostwach. Pewnie mieli tam w górze jakiś bardzo ważny mecz i teraz świętują.

- Potwory - powtórzył Keenan, ale uspokoił się na tyle, że zdołał podnieść głowę i popatrzeć na Coopa. - Wielkie, czarne potwory o ostrych zębach.

- Zadrżał, kiedy głośno zagrzmiało. Po jego twarzy znowu zaczęły spływać łzy. - Chcą mnie zjeść.

- Nie. - Coop pomacał chłopca po ramieniu.

- Jesteś za twardy.

- Naprawdę?

- No pewnie. Jeśli jakieś potwory weszłyby tu i zobaczyły ciebie, uciekłyby z wrzaskiem. Nigdy nie dostaną Coopa i Keenana.

Mały pociągnął nosem i potarł pięścią oczy.

- Naprawdę? - powtórzył.

- Naprawdę. - Coop widział, że dolna warga chłopca zadrżała, gdy uderzył kolejny piorun. - To dopiero musiał być mistrzowski rzut - dodał, a usta Keenana rozciągnęły się w niepewnym uśmiechu.

- Mogę tu z tobą zostać? - spytał chłopiec.

- Pewnie. Chyba tak.

Keenan, znawca w takich sprawach, rozsiadł się wygodnie na kolanach Coopa, oparł

głowę o jego pierś i westchnął.

* * *

Kiedy Zoe wróciła do domu, chwiała się ze zmęczenia. Dochodziła trzecia w nocy, a ona od dwudziestu godzin nie spała, tylko ciągle była czymś zajęta. Teraz chciała po prostu runąć na łóżko i

zasnąć.

Zobaczyła ich w szarym świetle wciąż włączanego telewizora. Leżeli na sofie, a chłopiec przytulił się do mężczyzny. Zmierzwiłone włosy Keenana spoczywały pod szeroką, opaloną dłonią Coopa. Na ten widok coś w niej drgnęło.

Nie odrywając od nich oczu, odłożyła torebkę i klucze.

Jej syn wydawał się taki mały i taki bezpieczny.

Wysunęła stopy z butów i podeszła do sofy w samych pończochach. Delikatnie dotknęła włosów Coopa, zanim wyjęła syna z jego objęć. Keenan zadrżał, po czym przytulił

się do niej.

- Mama.

- Tak, skarbie - szepnęła. Niosąc go, poczuła zapach mężczyzny zmieszany z zapachem chłopca.

- Przyszły potwory, ale je odstraszyliśmy.

- No jasne.

- Coop powiedział, że burza to fajerwerki. Lubię fajerwerki.

- Wiem. - Położyła go w łóżku, poprawiła mu kołdrę i włosy, po czym ucałowała go w miękkie policzki. - A teraz śpij.

Ale on już zasnął. Patrzyła na niego przez chwilę w słabym świetle nocnej lampki, po czym odwróciła się i zeszła na dół, do Coopa.

Siedział na sofie i pocierał pięściami oczy. Wyłączyła buczący telewizor i przysiadła na oparciu sofy. Pomyślała, że każdy mężczyzna, który tak swobodnie spał z dzieckiem, miał

w sobie niezgłębione możliwości.

Przez chwilę zastanawiała się, jak to by było przytulić się do niego.

- Obudziła go burza?

- Tak. - Miał zachrypnięty głos, więc odchrząknął. - Był nieźle przestraszony.

- Powiedział, że przegoniłeś potwory.

- Wydawało mi się, że trzeba. - Uniósł głowę, żeby na nią popatrzeć. Jej duże, brązowe oczy były zmęczone i uśmiechnięte. Małeńka zmiana w rytmie bicia serca odpowiedziała mu, że powinien już iść. Mimo to zwlekał. - Już dobrze?

- Teraz tak. Dobry byłby z ciebie ojciec.

- No cóŜ... - To go zaniepokoiło. Wstał i zastanawiał się, co powiedzieć. - Raczej nie.

Ale to nie było nic wielkiego.

- Dla mnie tak. - ZauwaŜyła, Ŝe go krępuje, choć wcale nie miała takiego zamiaru. -

MoŜe zrobię ci jutro śniadanie?

- Co?

- Odplacę ci się naleśnikami. Pani Finkleman mówiła mi, Ŝe zamawiasz duŜo pizzy i chińskich potraw, więc przypuszczam, Ŝe nie gotujesz. Lubisz naleśniki?

- A kto nie lubi?

- No to daj mi znać, kiedy wstaniesz. Podrzucę ci kilka. - Uniosła rękę i odsunęła włosy z czoła. -
Dziękuję, Ŝe mi pomogłeś.

- Ŝaden problem. - Zrobił krok do tyłu, zaklął pod nosem i odwrócił się do niej. -

Posłuchaj, po prostu muszę to zrobić, rozumiesz?

Zanim zdąŜyła zareagować, ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją w usta.

Pocałunek był szybki i lekki. Zoe poczuła dreszcz biegnący przez ciało.

Kiedy nawet się nie poruszyła, podniósł głowę i spojrzał na nią. Wpatrywała się w niego, a jej oczy były powaŜne i ciemne. Pomyślał, Ŝe widzi w nich to samo, co właśnie czuł

w okolicy Ŝołądka. Otworzyła usta, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale on potrząsnął

głową i znowu ją pocałował. DłuŜej, głębiej, aŜ poczuł, Ŝe uginają się pod nią kolana. AŜ

usłyszał w jej gardle cichy jęk rozkoszy.

Jej dłonie złapały go za ramiona, a następnie zatoneły w jego włosach. Stali tak, zamknięci w uścisku.

Jedno z nich zadrŜało, moŜe oboje. To nie miało znaczenia, gdy jej smak przenikał do jego ust. Czuł się tak, jak gdyby jeszcze nie zdołał się obudzić, jak gdyby sen znowu go wciągał i kazał mu zapomnieć o rzeczywistości.

Ona teŜ o niej zapomniała. W tej chwili wiedziała tylko, Ŝe trzymają ją silne ramiona, Ŝe ktoś smakuje jej usta i Ŝe jej pragnienia, tak długo uśpione, wydostały się wreszcie na wolność.

Dotknij mnie. Zastanawiała się, czy to powiedziała, czy te słowa tylko krąŜyły leniwie po jej głowie.

A jego ręka, twarda i pewna, przejechała po jej ciele i stłumiła ogień.

Pamiętała, jak się płonie, i pamiętała, co się dzieje, gdy płomienie gasły, a człowiek zostawał zupełnie sam.

- Coop... - Tak bardzo pragnęła, żeby to się stało. Tylko że tym razem nie była już młodą, lekkomyślną dziewczyną. Poza tym musiała myśleć jeszcze o kimś. - Coop, nie.

Jego usta znowu przylgnęły do jej warg. Zdołał się jednak oderwać od niej.

Uświadomił sobie, że brakuje mu tchu, niczym człowiekowi, który właśnie uderzył głową o coś twardego.

- Teraz pewnie powinienem powiedzieć, że mi przykro.

- Nie musisz. - Potrząsnęła głową. - Mnie nie jest.

- To dobrze. - Zaciśnął ręce na jej ramionach, po czym schował je w kieszeniach. - Bo mnie też nie. Myślałem, że to zrobić od chwili, gdy pierwszy raz zobaczyłem twoje stopy.

Uniosła brwi. Z pewnością się przesłyszała.

- Co?

- Twoje stopy. Stałaś na drabinie i malowałaś. Nie miałaś na nogach butów. Masz nieprawdopodobnie seksowne stopy.

- Naprawdę? - Zdumiewało ją, że raz przez niego czuła ucisk w gardle, a w następnej chwili doprowadzał ją do śmiechu. - Dziękuję. Chyba...

- Chyba już pójdę.

- Tak, tak będzie lepiej.

Skinął głową i ruszył do drzwi. Tym razem, kiedy się zatrzymał, zeszywniała. On jednak tylko się odwrócił i popatrzył na nią.

- Nie próbuję zaciągnąć cię do łóżka. Ale musisz wiedzieć, że cię pragnę.

Pomyślałem, że powinnaś o tym wiedzieć.

- Doceniam to - powiedziała drżącym głosem.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, poczuła, że ma miękkie nogi i usiadła na kanapie.

Co ja mam teraz robić? - zapytała samą siebie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy Coop zwlókł się w końcu z łóżka, dochodziło południe. Potknął się pod prysznicem i omal nie upadł, zanim otworzył oczy. Mokry i zdenerwowany, wytarł się ręcznikiem, przez chwilę zastanawiał się, czy się ogolić, ale w końcu zrezygnował z tego pomysłu.

Wbił się w spodenki i podkoszulek, zanim ruszył do ekspresu do kawy. Nastawił go, a potem otworzył drzwi i pozwolił, żeby słońce oślepiło go i orzeźwiło na dobre.

Zoe i Keenan byli na podwórzu i śmiali się. Mama usiłowała nauczyć syna odbijać kijem piłeczkę. Coop pomyślał, że dzieciak nie ma zbyt dużo szczęścia, za to świetnie się bawi. Postanowił się wycofać, zanim którekolwiek go zauważy, nie mógł jednak odmówić sobie kibicowania.

- Jeśli będzie tak stał, nigdy nie trafi! - zawołał, a dwie pary dużych brązowych oczu spojrzały w jego kierunku.

- Cześć, Coop. Zobacz, gram w baseball. - Zachwycony publicznością Keenan machnął kijem i niemal trafił nim matkę w brodę.

- Uważaj, mistrzu - powiedziała i cofnęła się.

- Dzień dobry! - zawołała. - Masz ochotę na swoje śniadanie?

- Może.

Keenan znowu okręcił się i wypadło to tak śmiało, że Coop zamruczał coś pod nosem. Pomyślał, że mały kręcił się jak dziewczyna. Ktoś musiał pokazać temu dzieciakowi, jak trzymać kij, prawda? Podszedł do Keenana i powiedział:

- Za mocno ściskasz. Zoe ściągnęła brwi.

- Książka, którą czytałam...

- Książka! - Nie mógł się opanować i zaklął:

- Jakaś cholerna książka! - A Keenan natychmiast powtórzył przekleństwo. -

Przepraszam - powiedział Coop, kiedy Zoe rzuciła mu surowe spojrzenie. - Posłuchaj, musisz się nauczyć, co czerpać z książki, a co odrzucać. Nie można nauczyć się baseballu z książki.

A on kręci się zupełnie jak dziewczyna. - Przyklęknął i poprawił dłonie Keenana.

Zoe już miała ochotę posłuchać rad eksperta, ale ta ostatnia uwaga ją zdenerwowała.

- Przepraszam? Czybyś sugerował, że kobiety nie nadają się do sportu?

- Tego nie powiedziałem. Uderzaj od ramienia - pouczył Keenana. Coop mógł być mrukiwy, ale nie

był głupi. - Jest mnóstwo wspaniałych lekkoatletek. Miej oko na piłkę, mały. - Jedną ręką objął Keenana i lekko podrzucił piłkę drugą. Kij uderzył w nią z głuchym trzaskiem.

- Trafiłem! Trafiłem, naprawdę!

- Jak zawodowiec. - Coop ponownie popatrzył na Zoe. - Myślałem, że robiłaś naleśniki...

- Robiłam... i zrobię. - Odetchnęła głęboko. - Rozumiem, że ty przejmujesz dowodzenie.

- No cóż, ja nie potrafię robić naleśników, a ty nie potrafisz grać w baseball. Może oboje zajmiemy się tym, w czym jesteśmy najlepsi?

- Myślałby kto, że to taka niezwykła umiejętność uderzyć głupią piłkę głupim kijem - mruknęła, zмирzając ku tylnym drzwiom.

- Ale ty nie umiesz tego robić.

Zatrzymała się gwałtownie, odwróciła i zmrużyła oczy.

- Oczywiście, że umiem.

- Na pewno. No dobra, Keenan, spróbuj jeszcze raz.

- To chyba moja kolej. - Rozzłoszczona Zoe wyjęła kij z rąk syna.

- Trafisz, mamo? Trafisz?

- Jasne, że tak. - Wyciągnęła rękę po piłkę, która trzymał Coop. Podrzuciła ją, okręciła się i posłała kijem piłkę na płot okalający podwórze.

Coop prychnął i uśmiechnął się do niej.

- Nieźle jak na dziewczynę. Ale każdy może trafić w taką piłkę.

- Keenan jest za mały na cokolwiek innego poza plastikową piłką.

- Nie, chodzi mi o to, że kiedy sama podrzucasz, to na pewno trafisz.

- Och, czyżby?

- Teraz ja rzucam, Coop! - krzyknął Keenan. - Ty łapiesz.

- Jasne, zaczynaj, mały.

Keenan dopiero za trzecim razem zdołał posłać piłkę w okolicę Coopa.

- Rozumiem, że nie wierzysz, że zdołałabym odbić, gdybyś rzucił do mnie... - zaczęła Zoe i uniosła

kij.

- Niezłe, ale powinnaś trochę przybliżyć go do siebie. Właśnie tak - powiedział i cofnął się. - Zoe, trzymasz ten kij jak młotek. Czyśbyś zamierzała przybić nim gwóźdź?

Uwaga, rzucam.

Rzucił piłkę łagodnie i z dołu, ale Zoe i tak musiała zacisnąć zęby, żeby nie odskoczyć. Ponieważ chodziło o jej dumę i szacunek jej syna dla kobiet, uderzyła naprawdę mocno. Nikt nie był bardziej zdumiony od niej, kiedy trafiła. Coop złapał piłkę tuż przed tym, zanim rozbiła mu nos.

- No cóż. - Zoe oddała kij zdumionemu Keenanowi i otrzepała ręce. - Idę robić naleśniki.

- Ale mocno uderzyła - powiedział Keenan z podziwem.

- Tak. - Coop patrzył, jak drzwi zatrzęsęły się za Zoe. - Twoja mama to naprawdę...

naprawdę ktoś, mały.

- Rzucisz mi, Coop? Rzucisz?

- Pewnie. Ale popracujmy najpierw nad postawą, dobrze? Musisz wyglądać jak prawdziwy gracz.

Kiedy Zoe przewróciła na patelni ostatniego naleśnika, wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak jej syn zamachnął się kijem. Piłka nie poleciała zbyt daleko, ale Coop udał, że nie zdołał jej złapać i Keenan zaczął tańczyć z radości.

- Nie dałem rady - stwierdził Coop, a chłopiec wskoczył mu na plecy. - Ej, mały, w baseballu nie ma łaskotek. Sezon piłkarski już się skończył. - Złapał chłopca i odwrócił go nogami do góry.

Gdzieś w trakcie tego wczesnego popołudnia jego zły humor zniknął.

* * *

Zwyczajowo zaczął spędzać trochę czasu z chłopcem. Niczego nie planowali, po prostu czasem bawił się w berka z Keenanem albo pokazywał mu w swoim mieszkaniu, jak rzucać piłkę do kosza. Zapewniał samego siebie, że wcale nie przywiązał się do małego.

Kiedy jednak miał trochę wolnego czasu, a chłopiec chciał się z nim spotkać, to co mu szkodziło? Całkiem miło było widzieć te wielkie oczy pełne nabożnego podziwu. Przyjemnie było słuchać przeraźliwie głośnego śmiechu, którym wybuchał Keenan, kiedy coś przypadło mu do gustu.

A jeśli czasem chłopiec przybywał razem z mamą, było jeszcze przyjemniej.

Co prawda od czasu tamtej burzy Coop o wiele częściej widywał Keenana niż Zoe.

Zachowywała się przyjaźnie, ale robiła wszystko - przynajmniej tak wydawało się Coopowi -

Seby nie zostawać z nim sam na sam.

Należało coś z tym zrobić, pomyślał, kiedy wyłączył komputer.

Wziął do ręki dwa małe samochodziki rajdowe, jedne z wielu rzeczy, które Keenan zostawił w jego pokoju. Znał już Zoe na tyle dobrze, że wiedział, że zabawki będą lepszą wejściówką niż piękne róże.

Potrząsając samochodzikami w rękę, zszedł po schodach i zapukał do kuchennych drzwi.

Zoe przebywała właśnie w pomieszczeniu z pralką. Włoszyła ubrania, zatrzasnęła drzwiczki i zawołała:

- Kto tam?

- Coop.

Zawahała się i uruchomiła pralkę.

- Wejdz. Zaraz przyjdę.

Dźwignęła kosz z wypranymi rzeczami, nie tylko dlatego, że musiała, ale także w ramach obrony, i przeszła do kuchni.

Naprawdę dobrze wyglądał. Bardzo się starała nie myśleć o jego urodzie. Jest tak cholernie męski, pomyślała, to szczupłe, atletyczne ciało, mięśnie, ciemne, nieuczesane włosy i te wspaniałe jasnozielone oczy. Niepokoiła się, że jej serce przestaje na moment bić, kiedy Coop posyła jej jeden ze swoich bezczelnych uśmiechów.

- Cześć. - Postawiła kosz na kuchennym stole i natychmiast zaczęła składać skarpety.

- Cześć. - Kuchnia była zabałaganiona, jak zawsze. Pomyślał, że zdecydowanie przydałaby się jej pomoc. Poza tym przepięknie pachniała. - Keenan zostawił to na górze. -

Coop postawił samochodziki na stole. - Pomyślałem, że będzie ich szukał.

- Dzięki.

- Gdzie on jest?

- W szkole.

- No tak, prawda. - Coop znał plan lekcji Keenana równie dobrze jak wczorajsze wyniki meczów. - Dopiero wróciłaś z kwiaciarni?

- Uhm. Interesy idą coraz lepiej. Mamy kilka wesel. Właściwie to przez następne trzy tygodnie mogłabym pracować na cały etat, ale nic z tego ze względu na rozkład zajęć Keenana.

- Jak to? - Leniwie wyciągnął koszulę z kosza.

- Chodzi o te wiosenne wesela. Do przygotowań potrzeba wielu osób, więc Fred zapytał, czy przez jakiś czas mogłabym zostawać na cały dzień.

- To chyba dobrze, prawda?

- Szkoła, do której chodzi Keenan, to raczej zerówka niż przedszkole. Dziecko może być w niej tylko do trzeciej. A w przyszłym tygodniu wypada moja kolej na rozwój dzieci. Poza tym obiecałam Keenanowi i kilku innym dzieciakom, że w piątek pójdziemy na basen. On naprawdę już nie może się doczekać.

- Tak, wspominał mi o tym. - Jakies dwadzieścia razy, przypomniał sobie Coop.

- Nie mogę go zawieść.

- No to ja się tym zajmę.

Spojrzała na niego. Przez moment skarpetki nieruchomo zwisały z jej dłoni.

- Co?

Nie mógł uwierzyć, że to powiedział. Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- Powiedziałem, że ja się tym zajmę. To mój problem. Kiedy wróci ze szkoły, może iść ze mną tam, gdzie ja będę akurat siedział.

- Nie masz pracy? - Przekrzywiła głowę.

- Chyba mam, a przynajmniej tak to nazywam, bo mi za to płacą. - Uśmiechnął się, kiedy zrozumiał, że ten pomysł wcale nie budzi w nim niepokoju. - Większość artykułów piszę w domu, więc może mi towarzyszyć, kiedy idę do gazety albo na wywiad. Pewnie mu się to spodoba.

- Na pewno. - Zmrużyła oczy. Dlaczego nie mogła do końca zrozumieć J. Coopera McKinnona? - Ale czy tobie się to spodoba?

Nie bardzo wiedział, jak na to odpowiedzieć.

- Czy mnie się spodoba? Dlaczego nie? Niespecjalnie mi przeszkadza. Roześmiała się i znowu zajęła składaniem skarpet.

- Może i nie, ale zapomniałaś o rozwoju dzieci.

- Potrafię prowadzić. Co to za problem zawieść i odwieźć gromadę dzieciaków?

- Nawet mnie o to nie pytaj - mruknęła. - Może to jest coś, czego powinien doświadczyć każdy

doroŝy człowiek. No, a pływania?

- Byłem kapitanem druŜyny pływackiej na studiach. Popatrzyła na niego.

- Myślałam, ŝe grałeś w baseball. Keenan mi o tym wspominał.

- Owszem, grałem. W swoim ostatnim sezonie zdobyłem dwieście dwanaście punktów. Grałem teŜ w koszykówkę, podczas jednej gry zazwyczaj zdobywałem około czterdziestu dwóch punktów. - Coop nagle zdał sobie sprawę, ŝe się popisuje. Jak jakiś nieopierzony nastolatek usiłujący zrobić wrażenie na najładniejszej koleŜance z klasy.

Zmarszczył brwi, patrząc na samochodziki i zaczął przesuwać jeden z nich po stole.

- Keenan mówił, ŝe wspaniale naśladowiesz silnik samochodu.

- Tak, ma się ten talent.

Zoe zdała sobie sprawę z tego, ŝe się zawstydził, i miała ochotę go uściskać.

- Coś ci powiem. MoŜe zaczniemy od jednego dnia? Wtedy zadecydujesz, czy dasz sobie radę...

Jego oczy zalśniły.

- Myślę, ŝe dam sobie radę z chudym dzieciakiem i paroma jego kolegami.

- Dobrze. Jeśli dojdiesz do wniosku, ŝe nie chcesz się tym zajmować, nie będę miała pretensji, zgoda?

- Zgoda. Kiedy chciałabyś zacząć?

- Najchętniej od jutra.

- W porządku. - A więc to ustalili. Teraz naleŜało przejść do innych spraw. - Co byś powiedziała na kolację?

Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Hmm. Jasne. Mieliśmy zjeść kurczaka. Chyba go usmaŝę.

- Nie. - Zrobił krok do przodu, więc Zoe się cofnęła. - MoŜe wyszlibyśmy na kolację?

Ty i ja.

- No cóŜ... - Niezła odpowiedź, pomyślała. Bardzo zwięzła. - Dzisiaj pracuję.

- No to jutro.

- Naprawdę się nie umawiam.

- ZauwaŜylem. Przed czym tak uciekasz, Zoe?

- Przed tobą. - Zła na siebie, machnęła ręką w jego kierunku, a Coop chwycił ją i przycisnął do piersi. - Nie chcę umawiać się na randki. Znowu cokolwiek zaczynać. Mam bardzo waŜne powody.

- Kiedyś będziesz musiała mi o nich opowiedzieć.

- Wyciągnął rękę, przejechał nią po jej włosach i ściągnął gumkę, którymi je związała.

- Chyba nie będziesz mnie znowu całował...

- Jasne, Ŝe będę. - Dotknął jej warg ustami, Ŝeby to udowodnić. Nie zamykał oczu, gdy pieścił jej dolną wargę, badał ją językiem, draŜnił się i uwodził.

- Masz niesamowite usta.

Zabrakło jej tchu. Kiedy łapała powietrze, niemal nic nie widziała. Pragnęła tylko tego. Wydawało się, Ŝe jej Ŝycie zaleŜy od pocałunku Coopa. To niesprawiedliwe, pomyślała oszołomiona, gdy zaczęła poddawać się pragnieniu. Minęło zbyt wiele czasu, przekonywała samą siebie. Z pewnością reagowała w ten sposób, poniewaŜ juŜ od tak dawna nie pozwalała sobie na bycie kobietą.

Pod wpływem jego dotyku roztapiała się jak wosk.

Nie miał pojęcia, Ŝe dotyk jej szczupłego ciała będzie tak erotycznie działał na niego.

Zamierzał ją tylko pocałować, sprawdzić ich oboje, ale jego ręce juŜ sięgały dalej, pieściły, badały.

Dotyk twardych, pełnych odcisków dłoni na jej nagiej skórze sprawił, Ŝe osunęła się na kolana.

- Muszę pomyśleć.

- Pomyślisz później. - Przycisnął wargi do jej szyi.

To było cudowne, tak cudowne, Ŝe znowu poczuła ból. Zbyt dobrze jednak wiedziała, co wynika z kojenia takiego bólu.

- Coop, nie moŜemy tego zrobić.

- Owszem, moŜemy. Udowodnię ci. RozeŜmiała się, co zabrzmiało niemal jak jęk, i odwróciła głowę.

- Kręci mi się w głowie. Musisz przestać. Czy ty w ogóle masz pojęcie, co ze mną robisz?

- Nawet nie zacząłem. Chodź na górę, chodź ze mną na górę, Zoe. Chcę czuć cię przy sobie. Chcę znaleźć się w tobie.

- Ja teŜ chcę. - ZadrŜała, gdy pragnienie eksplodowało w niej niczym bomba. - Coop, muszę

najpierw pomyśleć. Od lat z nikim nie byłam.

Jego usta zatrzymały się, gwałtownie przerywając szybką podróż po jej szyi. Odsunął się powoli, żeby na nią popatrzeć. Oczy Zoe były zamglone, usta zaś spuchnięte i pełne.

- Z nikim?

- Z nikim. - Przełknęła ślinę i modliła się o to, by wrócił jej rozsądek, zanim zedrze z niego ubranie. - Ostatni raz jeszcze przed narodzinami Keenana. Czuję się tak, jak gdyby wszystkie te pragnienia wyschły we mnie... są zupełnie jak suche, zwiędłe liście. Ale wystarczy przystawić do nich zapałkę i wtedy już nie wiadomo, jak to opanować.

- Wciąż kochasz ojca swego dziecka - powiedział ostro Snie Coop.

- Nie. - Roześmiałyby się, gdyby nie była taka wstrząśnięta. - On nie ma z tym nic wspólnego. To znaczy ma, ale... Muszę usiąść. - Podeszła niepewnie do krzesła. -

Wiedziała, że to się stanie. Wiedziała to od pierwszej chwili, w której cię ujrzałam. Nie było nikogo, bo nikogo nie chciałam. Bo liczył się dla mnie tylko Keenan. Mam plany. - To zabrzmiało jak oskarżenie. Jej oczy pociemniały. - Cholera, mam plany. Chcę się znowu uczyć. Pewnego dnia mam zamiar otworzyć własną kwiaciarnię. - Jej głos zaczął się łamać, co go zaniepokoiło.

- Zoe...

- Wszystko szło tak dobrze. - Nie dawała sobie przerwać. - Kupiłam dom. Chciałam, żeby Keenan miał dom, własne podwórko, sąsiadów. Wszyscy mówili, że zwariowałam, że nigdy mi się nie uda, że pośluję, że ze wszystkiego zrezygnowałam i chcę wychować dziecko sama. Ale ja niczego nie śluję. Keenan to najlepsze, co mogło mi się w Syciu przytrafić. Odwaliłam kawał dobrej roboty. Keenan jest szczęśliwy, bystry, zabawny i cudowny. Cieszymy się swoim Syciem i wiem, że może nam być jeszcze lepiej. Nikogo nie potrzebowałam. I... O Boże, zakochałam się w tobie.

Dłoń, którą właśnie uniósł, żeby niezręcznie pogłaskać ją po głowie, zamarła.

- Co?

- Co za bałagan. Co za bałagan. - Wyciągnęła z kosza małą skarpetkę i wytarła nią oczy. - Może to hormony. To możliwe, wiesz. Bo kiedy wróciłam z pracy, a ty spałeś z nim na sofie, to było takie słodkie. A potem zacząłeś mnie całować i wszystko we mnie oszalało.

A potem stałeś na podwórzu i byłeś taki mądry i męski, pokazywałeś Keenanowi, jak odbić tę głupią piłkę. A potem jadłeś naleśniki i przyglądałeś mi się. Ledwie mogę oddychać, kiedy mi się przyglądasz.

W którymś momencie tej przemowy przestał cokolwiek rozumieć.

- Chyba coś przegapiłem - stwierdził.

- Nie, niczego nie przegapiłeś. - Pociągnęła nosem i znowu próbowała wziąć się w garść. - Po prostują się zagalopowałam. Byłeś miły dla Keenana i uczciwy w stosunku do mnie. - Westchnęła i położyła mokrą skarpetkę na kolanach. - Wierz mi, rozumiem, że tylko ja odpowiadam za swoje uczucia.

- Ponieważ wciąż patrzył na nią tak, jak mógłby patrzeć człowiek na zaprzyjaźnionego psa, który właśnie rzucił mu się do gardła, uśmiechnęła się.

- Przepraszam, Coop. Nie powinnam była zrzucać tego wszystkiego na twoje barki.

Nawet nie wiedziałam, że to we mnie siedzi.

Tym razem się cofnął.

- Zoe, lubię twojego syna. Nie da się go nie lubić. I podobasz mi się. Ale...

- Nie ma powodu, żebyś się usprawiedliwiał.

- Teraz już spokojna, wstała. - Naprawdę. Niczego od ciebie nie oczekuję i przykro mi, że sprawiłam cię w zakłopotanie. Teraz jednak czuję się o wiele lepiej. - I, o dziwo, była to prawda. - Kiedy pójdę z tobą do Łoska, będziemy się nawzajem rozumieli.

- Kiedy...

- Przecież oboje wiemy, że to się zdarzy - powiedziała spokojnie. - Oboje tego pragniemy i lepiej stawiać temu czoło, niż żyć z tym napięciem. Keenan chciał spędzić noc u swojego kolegi. Załatwię to.

- Roześmiała się cicho, widząc wyraz twarzy Coopa.

- Trudno być spontanicznym, kiedy w pobliżu kręci się czterolatek. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko planowaniu wspólnej nocy.

- Nie, to znaczy, nie... Bo że, Zoe.

- Jeśli tego nie chcesz albo potrzebujesz trochę czasu do namysłu, to w porządku.

Przyglądał się jej twarzy i poczuł znajome, chciwe pośądanie, a także coś zupełnie nowego.

Zupełnie innego.

- Nie, pragnę cię. Kiedykolwiek zechcesz.

- Co powiesz na poniedziałkowy wieczór?

- W poniedziałek mam dwa mecze. - Nie mógł uwierzyć, że stał tu i planował noc dzięki namiętności niczym wizytę u dentysty.

- A w srode?

- Sroda mi pasuje - skinął głową. - Chcesz dokądś pójść? Pomyślała, że to bardzo miło z jego strony, że zapytał.

- Nie ma potrzeby. - Położyła rękę na jego policzku. - Nie potrzebuję kwiatów ani blasku świec. Przyjdę na górę zaraz po tym, jak wyprawię Keenana.

- Dobrze. W porządku. No, to lepiej wróć do pracy.

- Nadal chcesz się jutro zająć Keenanem?

- Tak, Saden problem. Powiedz mu, żeby przyszedł na górę. - Coop wycofał się ku drzwiom, a Zoe znowu zaczęła składać pranie. - No, to chyba do zobaczenia.

Nasłuchiwała, jak wchodził po schodach. To z pewnością był błąd, pomyślała. Ale popełniała już błędy. życie staje się zbyt przyziemne, kiedy unika się wszystkich niewłaściwych ścieżek.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Celuje i trafia! - Coop zaczął naśladować aplauz tłumu, kiedy Keenan wrzucił piłkę do kosza.

- Zrobię to jeszcze raz! Mogę, prawda? - Usadowiony na ramionach Coopa, Keenan machnął nogą obutą w trampek.

- No dobrze, zostałeś sfaulowany. - Coop podniósł małą piłkę i podał ją Keenanowi. -

To bardzo ważny mecz, dziesięć sekund do końca. Grasz o wszystko albo nic. Rozumiesz?

- Rozumiem!

- Tłum zaczyna szeptać, kiedy Fleming przygotowuje się do rzutu... Dziś grał

wspaniale, ale najważniejszy jest ten właśnie rzut. Wpatruje się w kosz. Wpatrujesz się w kosz?

- Wpatruję się - odparł Keenan z językiem między zębami.

- Celuje... rzuca! - Coop skrzywił się, kiedy gumowa piłka dotknęła obręczy, a następnie patrzył przez zmrużone oczy, jak wpada do siatki.

- Tłum szaleje! - Coop zaczął tańczyć wokół sofy, a Keenan pohukiwał i klaskał.

Kiedy Coop rzucił chłopca na poduszki na sofie, mały wybuchnął przeraźliwym śmiechem, który zawsze rozbawiał Coopa. - Masz wrodzony talent.

- Teraz ty rzuć, Coop! Rzuć!

Coop posłusznie wrzucił piłkę do kosza. Uznał, że to nie najgorszy sposób na spędzenie

deszczowego popołudnia. I dzięki temu nie myślał o tym, jak spędzi dzisiejszą deszczową noc.

Była środa.

- Dobra, koniec zabawy. Muszę skończyć felieton o mityngu lekkoatletycznym.
- Idziemy dzisiaj do gazety? Tam jest fajnie.
- Nie, nie dzisiaj. Kiedy skończę, prześlę go faksem. A ty obejrzyj sobie telewizję. -

Coop włączył odbiornik pilotem, który następnie podał chłopcu.

- Mogę się napić?
- Tak, mam trochę tego soku, który przygotowała ci mama. Tylko nie rób bałaganu, dobrze?
- Dobrze.

Kiedy Coop wszedł do swojego biura, Keenan zeskoczył z sofy. Bardzo lubił siedzieć z Coopem po szkole. Zawsze robili coś fajnego, a Coop nigdy nie pytał, czy Keenan umył

ręce ani nie mówił, że jeśli zje zbyt dużo ciastek, to straci ochotę na obiad.

Najbardziej jednak lubił, kiedy Coop go podnosił. Robił to inaczej niż mama. Keenan lubił, jak mama go przytulała, głaskała po kapturze albo kołysała, kiedy miał zły sen. Ale Coop pachniał inaczej, był też inny w dotyku. A to dlatego, że Coop był tatą, nie mamą.

Keenan lubił udawać, że Coop to jego tata i doszedł do wniosku, że jeśli nie zrobi nic złego, to może Coop nie odejdzie i zostanie z nimi?

Chłopiec wszedł do kuchni i przez chwilę szarpał się z drzwiami lodówki, ale w końcu zdołał je otworzyć. Był dumny, że Coop zawiesił na nich rysunki, które mu podarował.

Zajrzał do środka, zobaczył dzbanek soku, który kupiła mu mama. I zielone butelki, które tak lubił Coop.

- P - I - W - O - przeczytał Keenan. Pamiętał, jak zapytał Coopa, czy może pociągnąć łyk z butelki, a Coop powiedział mu, że dopiero kiedy będzie dorosły. Pozwolił mu jednak powąchać piwo i Keenan poczuł zadowolenie, że jeszcze nie dorósł i nie musi tego pić.

Dziś w lodówce stała nowa butelka, więc Keenan ściągnął brwi i usiłował przeczytać napis.

- C - H - A - R - D - O - N... - Liter było jednak zbyt wiele, więc przestał się nimi interesować.

Wziął dzbanek, złapał go mocno i postawił na podłodze. Nucąc pod nosem, przyciągnął krzesło, żeby wyjąć filiżanki z kredensu. Pewnego dnia będzie taki wysoki jak Coop i nie będzie musiał stawać na krześle. Przechylił się i stanął na palcach.

Na głuchy trzask i krzyk Coop raptownie podskoczył i uderzył kolaniem o biurko.

Rozsypały się papiery, kiedy wybiegi z biura i wpadł do kuchni.

Keenan nadal był. Krzesło było przewrócone, sok rozlał się na podłogę, a drzwi od lodówki były otwarte. Coop wszedł do kałuży i podniósł chłopca.

- Boli cię coś? Co sobie zrobiłeś? - Kiedy w odpowiedzi usłyszał tylko szloch, postawił Keenana na stole i zaczął szukać krwi. Już wyobrażał sobie głębokie rany i połamane kości.

- Upadłem. - Keenan zaczął się wiercić w ramionach Coopa.

- W porządku, w porządku. Uderzyłeś się w głowę?

- Nie. - Keenan pociągnął nosem i czekał na pocałunki, które zawsze otrzymywał, kiedy go coś bolało. - Upadłem na pupę. - Wydął usta. - Pocałuj.

- Mam cię... pocałować? Daj spokój, mały, chyba śartujesz. Usta chłopca zadrżały, a po policzku spłynęła łza.

- Musisz pocałować tam, gdzie boli. Musisz albo nie przejdzie.

- O Boże. - Speszony Coop przejechał dłonią po włosach. Czuł niesamowitą ulgę, że dzieciak się nie pokaleczył, ale gdyby ktoś, ktokolwiek, dowiedział się, co miał teraz zrobić, nigdy by tego nie przeszył. Odwrócił Keenana i pośpiesznie cmoknął go z tyłu.

- Wystarczy?

- Uhm. - Keenan wytarł oczy i wyciągnął rękę.

- Podniesiesz mnie?

- Tak. - Wcale nie czuł się idiotycznie, kiedy ramiona chłopca otoczyły jego szyję. -

Teraz już dobrze?

Keenan pokiwał głową i oparł ją na ramieniu Coopa.

- Nie chciałem. Wylałem cały sok.

- Nic się nie stało. - Coop niemal nieświadomie odwrócił głowę i musnął ustami włosy Keenana. Coś się w nim poruszyło.

- Nie jesteś na mnie zły? Nie odejdiesz?

- Nie. - Co się działo, do diabła? Coop nie rozumiał, dlaczego jakieś niewyjaśnione i nieoczekiwane emocje zawładnęły zniemacka jego sercem. - Nie, nigdzie się nie wybieram.

- Kocham cię - powiedział Keenan z prostotą dziecka.

Coop zamknął oczy i zastanawiał się, w jaki sposób dorosły człowiek ma poradzić sobie z uczuciem do czterolatka.

* * *

No cóż, wszystko gotowe, pomyślała Zoe, stojąc u podnóża schodów wiodących do mieszkania Coopa. Wystarczyło tylko pójść na górę, otworzyć drzwi i zacząć romans.

Poczuła ściskanie w łożu.

Nie bądź niemądra, powiedziała do siebie i weszła na pierwszy schodek. W końcu była normalną kobietą, miała normalne potrzeby. Jeśli jej emocje będą się chciały ujawnić, poradzi sobie z nimi. Kiedy nie ma się żadnych oczekiwań, jest mniej prawdopodobne, że zostanie się zranionym.

Kiedyś miała oczekiwania, ale zmądrzała.

To było zwykłe fizyczne pośladanie między dwojgiem samotnych, zdrowych ludzi.

Miała ochotę zawrócić, ale zmusiła się, żeby iść dalej. Dopilnowała wszystkiego. Jej syn nocował dzisiaj u kolegi. Zadbana też o antykoncepcję - tym razem nie mogła powtórzyć poprzedniego błędu.

Żadnych wyrzutów, powiedziała do siebie, kiedy podniosła rękę, żeby zapukać.

Wiedziała, jakie są bezużyteczne.

Otworzył tak szybko, że niemal podskoczyła. Przez chwilę stali i tylko wpatrywali się w siebie.

Włożyła sukienkę, jedną z tych cienkich, letnich sukienek, które sprawiają, że mężczyźni w duchu dziękują za koniec zimy. Miała rozpuszczone włosy, które spływały na malinowe paski sukienki i odsłonięte, brzoskwiniowe ramiona. Wydawała się zdenerwowana.

- Cześć. - Spojrzał na telefon bezprzewodowy, który trzymała w ręce. - Spodziewasz się telefonu?

- Co? Och. - Roześmiała się z zakłopotaniem. - Nie, po prostu chcę go mieć pod ręką, kiedy Keenana nie ma w domu.

- Jest u kolegi?

- Tak. - Weszła do środka i położyła telefon na szafce. - Był taki podniecony, był... -

Urwała, kiedy jej sandał przylepił się do podłogi.

- Chyba niedokładnie sprzątnąłem - skrzywił się Coop. - Mieliśmy tu mały wypadek.

- Tak?

- Mały wziął dzbanek i prawie doprowadził mnie do zawału. Na szczęście się nie skaleczył. Wylał tylko parę litrów soku pomarańczowego.

Kiedy odpowiedziała uśmiechem, podszedł do lodówki. Dlaczego tak bredził?

- Chcesz trochę wina?

- Chętnie. - On denerwuje się tak samo jak ja, pomyślała, i pokochała go za to. -

Keenan cudownie się bawi w twoim towarzystwie. Muszę teraz czytać dział sportowy, żeby zrozumieć, o czym on mówi.

- Tak, szybko się uczy.

- Podobnie jak ja - stwierdziła i wzięła od niego kieliszek wina. - Spytaj mnie o baseball. Mnóstwo o tym wiem. - Upiła łyk i machnęła kieliszkiem.

- Myślę, że Orioles wygraliby mecz w poniedziałek, gdyby w drugiej rundzie zmienili miotacza.

- Czyżby? - Jego usta drgnęły.

- Najwyraźniej ten pierwszy stracił zapach. Nawet komentator tak powiedział.

- A więc oglądałaś mecz.

- Oglądałam także „Ulicę Sezamkową”. Staram się nadąsać za zainteresowaniami Keenana. - Zamilkła, kiedy Coop wyciągnął rękę i nawinął na palec pasmo jej włosów.

- Lubi te dinozaury.

- Wiem. Pożyłam kilka książek z biblioteki. Dwa razy... - Palce Coopa wędrowały po jej ramionach. - Dwa razy byliśmy w muzeum historii naturalnej.

Odstawiła kieliszek i wpadła w jego ramiona.

Całował ją tak, jak gdyby nie mógł się już doczekać smaku jej ust. Jego reakcja była szybka, głęboka, rozpaczliwa. Cichy jęk, jaki wydobył się z gardła Zoe sprawił, że mięśnie Coopa stwardniały.

- Nie byłem pewien, czy przyjdiesz.

- Ja też nie. Ja...

- Nie mogę myśleć o niczym poza tobą - powiedział, biorąc ją na rękę. - Myślałem, że zrobimy to powoli.

- Zrobmy to szybko - szepnęła i przycisnęła usta do jego szyi, kiedy niósł ją do sypialni. Zanim runęła na łóżko, pomyślała o panującej tu spartańskiej skromności i męskich kolorach oraz prostych

kształtach mebli.

śladne z nich nie miało cierpliwości. Przetoczyli się po łóżku, jęcząc, dysząc, rozkoszując się sobą.

Czysta fizyczność tej sytuacji, ciało przy ciele, usta przy ustach, sprawiła, że Zoe zakreśliło się w głowie. Tak bardzo chciała być dotykana, czuć się kobietą, czuć na sobie dłonie mężczyzny, czuć, że jego usta rozkoszują się jej skórą.

Zatraciła się. śladnych nerwów, śladnych obaw. A skoro kochała, mogła jeszcze bardziej cieszyć się spełnieniem.

Była ucieleśnieniem marzeń każdego mężczyzny. Reagowała mocno i spontanicznie, a jej aktywność zachwycała go. I była taka piękna. Jej nagie ciało wydawało się tak smukłe, tak doskonałe - nie mógł uwierzyć, że urodziła dziecko. W świetle zachodzącego słońca jej uroda zapierała dech w piersiach. Gdziekolwiek ją dotykał, widział rozkosz w jej oczach.

Patrzył, jak te oczy zachodzą mgłą, czuł, jak jej ciało tężeje, słyszał jej stłumiony okrzyk. Uniósł ją i oboje z trudem łapali oddech, a Zoe wyprostowała się i owinęła wokół niego.

Wilgotna skóra ślizgała się na wilgotnej skórze, spragnione usta szukały spragnionych ust. Znowu przetoczyli się po łóżku, jęcząc i drżąc. Chwilę potem ręce Coopa uwięziły jej ręce, jego usta miały jej wargi. Wszedł w nią, mocno i zdecydowanie.

Poczuła, jak przeszywają cudowna rozkosz. Przez chwilę śladne z nich się nie poruszyło, po prostu trwali w napięciu, jakby zatrzymali się tuż na krawędzi.

A potem zaczęli się ruszać, szybko, dziko, a po pewnym czasie przekroczyli granicę.

* * *

Coop pomyślał, że nie poszło tak, jak sobie wyobrażał. Leżeli na łóżku, a Zoe przytulała się do niego. Ściemniło się, pokój był pełen cieni.

Myślał, że przejdą do sypialni dopiero po pewnym czasie. Oboje byli dorośli i wiedzieli, po co się tu spotkali, ale sądził, że wszystko potoczy się wolniej.

A potem stanęła na progu z uśmiechem, a w jej oczach widział zdenerwowanie...

Nigdy bardziej nie pragnął nikogo ani niczego.

Mimo wszystko uważał, że Zoe zasłużyła na więcej niż pośpieszna kotłowanina, choćby i satysfakcjonująca. Noc jednak dopiero się zaczęła.

Wysunął rękę, żeby przyciągnąć jej głowę i musnął wargami skroń.

- Wszystko w porządku?

- Ummm. - Czula się tak, jakby zrobiono ją ze złota. Była zdumiona, że jej skóra nie błyszczy w ciemnościach.

- Trochę się pośpieszyłem.

- Nie, wszystko było we właściwym czasie.

Zaczął wodzić palcem wzdłuż jej ramienia. Znowu jej zapragnął. Dobry Boże, za szybko odzyskiwał sprawność. Odrobina kontroli, Coop, przykazał sobie.

- Zostaniesz ze mną? - zapytał. Otworzyła oczy i popatrzyła na niego.

- Tak.

- Przyniosę wino.

- Dobrze. - Westchnęła, kiedy wyszedł z łóżka.

Uświadomiła sobie, że zapomniała, jak zachowywać się po fakcie. A także przed nim i w trakcie, pomyślała z gorzkim uśmiechem. Mimo to uznała, że wcale jej tak źle nie poszło.

Nie miała pojęcia, że tyle w sobie ukrywa. Ani jak bardzo znowu zapragnęła być kobietą. Ale przecież nie wiedziała nawet, że będzie zdolna ponownie się zakochać.

Poruszyła się pod zmiętą pościelą i automatycznie zakryła nią piersi, kiedy Coop wrócił z winem i kieliszkami.

Jej widok w łóżku spowodował, że ostre napięcie przeszło mu lędźwia, i sprawił, że jego serce zaczęło mocniej bić. Nic nie powiedział, tylko nalał wina, podał jej kieliszek i usiadł obok niej.

- Dlaczego z nikim nie byłaś? - W chwili, gdy wypowiedział te słowa, pośmiał się, że wcześniej jakiś zardzewiały nóż nie odciął mu języka. - Przepraszam, to nie moja sprawa.

- Nic się nie stało.

Bo nie zakochałam się w nikim przed tobą, pomyślała. Wiedziała jednak, że nie to chciał usłyszeć. I że wcale nie chodziło mu o odpowiedź na to pytanie.

- Pewnie interesuje cię ojciec Keenana.

- To nie moja sprawa - powtórzył. - Przepraszam, to ten reporter we mnie... takie skrzywienie zawodowe.

- To było bardzo dawno temu, całe wieki. Mogę ci o tym opowiedzieć. Wychowałam się w Nowym Jorku. Czy wspominałam ci, że moja matka jest aktorką? Nie? Ja urodziłam się w jej drugim

małżeństwie. Jak dotąd, wyszła za męża pięciokrotnie.

- Pięciokrotnie?

Zoe zachichotała i upiła odrobinę wina.

- Clarice zakochuje się i zmienia mężów tak jak inne kobiety zmieniają fryzury. Z

moim ojcem wytrzymała jakieś pięć lat, a potem rozstali się w zgodzie. Clarice zawsze rozwodzi się w zgodzie. Rzadko widuję ojca, przeniósł się do Hollywood. Głównie grywa w reklamach i podkłada głos. Tak czy inaczej, moja mama miała chyba męża numer cztery, kiedy uczyłam się w liceum. Miał jakieś powiązania z Agencją Modelek Towers. To spora firma.

- Słyszałem o nich.

- Zatrudnił mnie. Zrobiono mi parę zdjęć. Spodobałam się...

- No właśnie - przerwał jej Coop. - Wiedziałem, że gdzieś już widziałem twoją twarz.

- Pięć, sześć lat temu trudno było jej nie widzieć. - Wzruszyła ramionami. - Zrobiłam dwadzieścia okładek w jeden miesiąc, rok po maturze.

- Okładka „Sports”, pamiętam, byłaś w kostiumie kąpielowym.

- Masz dobrą pamięć - uśmiechnęła się. - To było sześć lat temu.

Pamiętał długie, zapiaszczone nogi, wilgotną czerwoną szmatkę udającą kostium kąpielowy i roześmianą, uwodzicielską twarz. Upił trochę wina.

- To dopiero było zdjęcie - powiedział.

- Robiono je przez wiele męczących godzin. Tak czy inaczej, zarabiałam sporo pieniędzy, pisano o mnie, wciąż chodziłam na przyjęcia. Na jednym z nich poznałam Roberto.

- Roberto. - Coop skrzywił się na dźwięk tego imienia.

- Lorenzi. Tenista. Być może o nim słyszałeś.

- Lorenzi? Pewnie. Trzy lata temu wygrał French Open, a potem odpadł w półfinałach Wimbledonu. Ma kiepską reputację, lubi szybkie samochody i uwodzi kobiety. Przez dwa ostatnie lata nie doszedł nawet do dwudziestego piątego miejsca. Kiepsko o nim pisano na wiosnę, kiedy za dużo wypił i uderzył fotografa... - Coop nagle urwał. - Lorenzi? On jest ojcem Keenana? Ale to...

- Kobieciarz? - podpowiedziała mu Zoe. - Obrzydliwy, bogaty, zepsuty egoista? Wiem o tym, ale dopiero teraz. Wtedy widziałam wspaniałego, czarującego mężczyznę, który wysyłał mi róże i zabierał mnie prywatnym odrzutowcem do Monte Carlo na romantyczne kolacje przy świecach. Byłam oszołomiona. Zapewniał, że mnie kocha, uwielbia, czci, że nie może bez mnie żyć.

Uwierzyłam mu i zostaliśmy kochankami. Ponieważ był moim pierwszym mężczyzną, myślałam, że będzie jedynym. Tak czy inaczej, nie zdawałam sobie sprawy, że dość szybko zmęczył się mną. Kiedy odkryłam, że jestem w ciąży, natychmiast powiedziałam mu o tym. W pierwszej chwili rozłościł się, ale już za moment zrobił się bardzo spokojny, bardzo rozsądny. Założył, że pragnę aborcji i zaproponował, że za wszystko zapłaci, a nawet załatwi lekarza.

- Czarujące.

- To było logiczne założenie - stwierdziła spokojnie Zoe. - Robiłam karierę w zawodzie, gdzie nikt nie zamierza czekać, a modelka schudnie i przestanie cierpieć na poranne mdłości. On, rzecz jasna, nie miał najmniejszego zamiaru się ze mną i myślał, zupełnie słusznie, że znam zasady gry. I chyba je znałam - dodała cicho. - Tylko że coś się zmieniło, kiedy lekarz potwierdził ciążę. Po niedowierzaniu, panice, a nawet chwilowej złości, nagle poczułam się dobrze. Zrozumiałam, że chcę urodzić i że postępuję słusznie.

Zrezygnowałam z pracy, wyprowadziłam się z Nowego Jorku i przeczytałam wszystkie możliwe poradniki o wychowywaniu dzieci.

- I tyle?

- Oczywiście nie obeszło się bez kilku scen, kilku ponurych przepowiedni i kilku ataków złości, ale to wszystko. Roberto i ja rozstaliśmy się... może niezupełnie w zgodzie, ale ustaliliśmy, że on będzie trzymał się z dala ode mnie, a ja z dala od niego.

- Powiedziałaś Keenanowi?

- To trudne. - I z tego powodu nigdy nie mogła pozbyć się poczucia winy. - Na razie powiedziałam mu, że jego ojciec musiał wyjechać i nigdy nie wróci. Jest szczęśliwy, więc nie zadaje zbyt wielu pytań.

- A ty? Jesteś szczęśliwa?

- Tak. - Uśmiechnęła się i dotknęła jego policzka. - Jestem. Przez całe życie chciałam mieć dom, rodzinę, coś stałego. Przed urodzeniem Keenana nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy. On odmienił moje życie.

- Więc nie masz ochoty wrócić i uśmiechać się do kamer?

- Nie. Ani trochę.

Położył rękę na karku Zoe i przyjrzał się jej.

- Co za twarz - mruknął. Nawet podobał mu się pomysł, że będzie miał ją tylko dla siebie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tylko ktoś z dziwnym i złośliwym poczuciem humoru mógł wpaść na pomysł

pełnienia dyŃurów przez jednego z rodziców przy rozwoju dzieci ze szkoły do domu.

PoniewaŃ Coop większość Ńycia przeŃył w miastach, gdzie dostać się do pracy moŃna było komunikacją publiczną lub szybkim marszem, nigdy nie miał nic wspólnego z tego rodzaju dyŃurami. Ani wśród dorosłych, ani wśród dzieci. Słyszał jednak plotki.

Kłótnie, drobne kradzieŃe, tłok, wylana kawa.

Po tygodniu w roli kierowcy rozwoŃącego dzieci Coop nie miał wątpliwości, Ńe wersja dziecięca jest gorsza od wersji dorosłej. O wiele gorsza.

- Panie McKinnon, on znowu mnie szczypie. Brad znowu mnie szczypie.

- Przestań, Brad.

- Carly się na mnie gapi. Kazałem jej przestać.

- Carly, nie patrz na Brada.

- Będę wymiotować, panie McKinnon, zaraz będę wymiotować.

- Nie będziesz.

I choć Matthew Finney udawał, Ńe się krztusi, co bardzo śmieszyło pozostałe dzieci, Coop zazgrzytał zębami i jechał przed siebie. Matt dwa razy dziennie groził, Ńe zaraz zwymiotuje - po to, aby pozwolono mu siedzieć z przodu. Po pięciu okropnych dniach Coop się wreszcie połapał, chociaŃ to wcale go nie uspokoiło.

Keenan, który przez cały tydzień czekał na swoją kolej, by usiąść z przodu, odwrócił

się i zaczął robić głupie miny do Matta. W rezultacie doszło do drobnej walki na szturchnięcia, a potem były wrzaski, chichoty i przepychanki.

- Keenan, odwróć się! - warknął Coop. - A wy się wyprostujcie. Przestańcie! Jeśli będę musiał zatrzymać samochód... - Urwał i zadrŃał. Mówił jak jego matka. Teraz to on się przestraszył, Ńe będzie wymiotował. - No dobra, pierwszy postój. Matt, uciekaj.

Piętnaście minut później, kiedy siedzenie z tyłu było nareszcie puste, Coop wjechał na podjazd i oparł obolałą głowę na kierownicy.

- Muszę się napić - mruknął.

- Mamy lemoniadę - poinformował go Keenan.

- Ńwietnie. - Wychylił się, Ńeby rozpiąć pas Keenana. Marzył o kieliszku wódki.

- Pójdziemy niedługo na pływalnię?

Perspektywa zabrania bandy wrzeszczących dzieci na pływalnię w ciągu najbliższego stulecia przygnębiała Coopa.

- Zapytaj mamę.

Coop zerknął na tylne siedzenie i doszedł do wniosku, że nie będzie sprzątać po dzieciakach. Już wcześniej, w tygodniu, popełnił ten błąd i odkrył gumę do śucia na dywaniku, okruszki oraz tajemniczą zieloną substancję rozsmarowaną na tylnym siedzeniu.

W jego obecnym stanie nawet papierek po cukierku mógł przeważać szalę.

- Juhu! - Pani Finkleman ściągnęła kwieciste rękawice ogrodowe i ruszyła przez trawnik w ozdobionej kwiatami sukni i jaskrawoniebieskich sandałach. - Jak było na pływalni, mój mały?

- Ścigaliśmy się i Brad przytopił Carly, a ona płakała, zanim Coop powiedział mi, żeby tego nie robił, a ja przez dwanaście sekund wstrzymywałem oddech.

- O mój Boże. - Roześmiała się i zmierzwiła włosy Keenana. - Wkrótce weźmiesz udział w olimpiadzie. - Jej bystre oczy spoczęły na zmiętej twarzy Coopa. - Wyglądasz na nieco wymęczonego, Coop. Keenan, może pobiegiesz i powiesz panu Finklemanowi, że chcesz kawałek tego wiśniowego ciasta, które dzisiaj upiekł?

- Jasne! - Mały złapał Coopa za rękę. - Chcesz trochę? Pójdiesz ze mną?

- Dziękuję. Ty idź.

Pani Finkleman zachichotała, kiedy Keenan pobiegł i zaczął wdrapywać się po schodach.

- Mały aniołek. Zabawimy go przez kilka godzin albo on nas zabawi. Chyba przyda ci się parę minut spokoju.

- W pokoju bez klamek - mruknął Coop. - Jak ktokolwiek może wytrzymać z dziećmi?

- Łatwiej idzie, kiedy towarzyszy się im od początku. Kiedy spędzisz całą noc z cierpiącym na kolkę niemowlęciem, nic cię już nie wzrusza. - Westchnęła. - Chyba że eksperymenty naukowe. Eksperymenty naukowe zawsze doprowadzały mnie do szaleństwa. I pierwsze jazdy. - Potrząsnęła głową na to wspomnienie. - To może wykończyć człowieka. -

Rozpromieniła się i poklepała go po ramieniu. - Ale na martwienie się tym masz jeszcze dużo czasu. Dobrze sobie radzisz. Harry i ja rozmawialiśmy o tym, jak to wspaniale, że w ścieniu Zoe i Keenana pojawił się wreszcie mężczyzna. Nie chodzi o to, że Zoe sobie nie radziła.

Wychowywała tego słodkiego chłopczyka, pracowała na dwa etaty i zajmowała się domem.

Ale naprawdę robi mi się ciepło na sercu, kiedy ty bawisz się z tym małym aniołkiem na podwórku, a Zoe tak się cieszy na twój widok. Śliczna z was rodzina. A teraz idź się zdrzemnąć. Ja dopilnuję twojego małego.

- Ja nie... On nie... - Ale ona już odpłynęła.

Rodzina. Poczłł się tak, jakby w Œoładku miał kulę ze Œniegu. Nie byli rodziną. O nie, powtórzył, obchodząc dom. Tego nie wziął pod uwagę. Pewnie, Œe lubił tego dzieciaka. Nie moŒna było go nie lubić. I szalał za jego matką, ale to jeszcze nie czyniło z nich rodziny.

Niczego sobie nie obiecywali. MoŒe i zaproponował, Œe spędzi trochę czasu z chłopcem, nauczył go grać w baseball, rzucił mu parę piłek, ale przez to nie stał się jego ojcem.

Ruszył prosto do lodówki, zdjął kapsel z butelki piwa i pociągnął solidny łyk.

Pewnie, lubił, kiedy dzieciak kręcił się w pobliŒu i naprawdę lubił przebywać w towarzystwie jego matki. Nawet sprawiło mu przyjemnoŒć, kiedy jakaŒ kobieta na basenie wzięła Keenana za jego syna i zachwycała się jego urodą. To jednak nie znaczyło, Œe zamierzał myŒleć o rodzinnym ubezpieczeniu zdrowotnym albo polisie dla chłopca.

Był samotny. Lubiał samotnoŒć. To oznaczało, Œe mógł przychodzić i wychodzić, kiedy chciał, mógł przez całą noc grać w pokera albo oglądać mecze w telewizji.

Lubił pracować we własnej przestrzeni - dlatego właŒnie zazwyczaj pisał w domu, a nie w redakcji „Doniesieñ”. Nie cierpiał, kiedy ludzie dotykali jego rzeczy, organizowali mu czas albo planowali wyjŒcia.

Życie rodzinne - jak pamiętał z dzieciñstwa - obfitowało w rozmaite wizyty.

Nie ma mowy, Œeby zmienił swoje Œycie i załoŒył rodzinę.

A więc popełniłem błąd, pomyŒlał, wziął piwo i wyciągnął się na sofie. PoŒwięcił Zoe i jej dziecku zbyt duŒo czasu, zbyt duŒo uwagi. Zrobił to z ochotą, ale teraz zrozumiał, Œe ten gest został opacznie zrozumiany. ZwłaŒcza po tym, kiedy Zoe wspomniała o miłoości. Tylko raz, przypomniał sobie. Najchętniej zwałiłyby to na karb kobiecego rozczulania się.

JeŒli jednak teraz się nie wycofa, mogą się od niego uzaleŒnić. Poruszył się niespokojnie, kiedy przyszło mu do głowy, Œe i on moŒe zacząć zaleŒeć od nich.

Chyba nadszedł czas, by ponownie stać się tylko lokatorem.

* * *

Keenan wypadł z sąsiedniego domu w chwili, gdy jego matka zaparkowała na podjeździe.

- CzeŒć, mamoo, czeŒć! Przez dwanaŒcie sekund nie oddychałem pod wodą! Zoe wyskoczyła z samochodu, złapała go i dwukrotnie okręciła w powietrzu.

- Pewnie masz tu skrzela. - Połaskotała go po Œebrach. - Witam, pani Finkleman.

- Witaj. Spędziliśmy przyjemną godzinę. Kiedy wrócili, kazałam Coopowi się zdrzemnąć. Chyba

miął cięŚki dzień.

- Dziękuję. - Ucałowała Keenana prosto w usta po czym przez chwilę się zastanowiła.

- Mmm... Jadłeś wiśnie.

- Pan Finkleman upiekł placek z wiśniami. Były bardzo pyszne.

- No pewnie. Podziękowałeś?

- Uhm. Mart prawie się wyrzygał w samochodzie Coopa.

- Zwymiotował - powiedziała Zoe, niosąc synka do domu.

- Tak. To była moja kolej, Őeby siedzieć z przodu. Őwietnie się bawiłem, a Coop pomógł mi pływać bez skrzydełek. Powiedział, Őe jestem mistrzem.

- Bo jesteś. - Opadła z nim na fotel. Perspektywa przygotowania obiadu, przebrania się w kelnerski strój i serwowania drinków przez sześć godzin z rzędu po prostu przeraŚała. -

Uściskaj mnie - zaŚadała, po czym przytuliła się do syna. - Jesteś mistrzem przytulania. MoŚe pójdziesz ze mną do kuchni i opowiesz mi, co jeszcze dzisiaj robiłeś, a ja przygotuję obiad?

Pół godziny później, kiedy Zoe odcedzała makaron, a Keenan rysował kredkami na rozłoŚonym na podłodze bloku, usłyszała kroki Coopa na górze. Jej serce zaczęło szybciej bić. Ta zdrowa, normalna reakcja sprawiła, Őe się uśmiechnęła. No i popatrz, pomyślała, wyobraŚałaś sobie, Őe juŚ Őaden męŚczyzna nie zrobi na tobie wraŚenia.

Zostawiła makaron w zlewie i podeszła do tylnych drzwi, czekając, kiedy pojawi się na dole schodów.

- CzeŚć.

- Jak leci? - Zadźwiewał kluczami w kieszeni. Dlaczego była taka rozpromieniona?

Zoe uśmiechała się i mimo Őe miała zmęczone oczy, widział w nich blask.

- Właśnie zamierzałam pójść do ciebie na górę. Pomyślałam, Őe moŚe masz ochotę na obiad po cięŚkim dniu na pływalni. - Otworzyła drzwi z siatki i wychyliła się, Őeby go pocałować. Jej uśmiech nieco przygasł, kiedy Coop się cofnął. - Mamy kurczaka i makaron.

Obiad pachniał niemal równie ładnie jak ona. Coop zajrzał do środka - domowa scenka, zabałaganione blaty, świeŚe kwiatki, para unosząca się z garnka, dziecko rozłoŚone na podłodze, ładna kobieta oferująca mu jedzenie i pocałunki.

Typowa pułapka.

- Dziękuję, ale właśnie wychodzę.

- Myślałam, że zostały ci dwie godziny do meczu. - Roześmiała się na widok jego uniesionych brwi.

- Ostatnio zwracam większą uwagę na rozgrywki sportowe. Baltimore kontra Toronto.

- Zgadza się. - Uwaga! Kiedy kobietę zaczyna interesować twoje hobby, zamierza zatrzaskać drzwi klatki. - Mam kilka spraw do załatwienia.

- Mogę iść z tobą? - Keenan wypadł przez drzwi i złapał Coopa za nogawkę spodni. -

Mogę iść na mecz? Najbardziej lubię oglądać z tobą.

- Mam zbyt dużo pracy - odparł z rozdrażnieniem i zobaczył, jak usta Keenana zadrżały. - Posłuchaj, to nie tylko mecz, to także moja praca.

- Keenan. - Zoe położyła rękę na ramieniu syna, żeby go odciągnąć, ale nie spuszczała wzroku z Coopa. - Zapomniałeś, że dzisiaj przychodzi do ciebie Beth? Zaraz się tu zjawi i obejrzycie razem twój ulubiony film.

- Ale ja chcę...

- Idź umyć ręce przed obiadem.

- Ale...

- Idź już.

Zmartwiona buzia chłopca wzruszyła by najtwardszego potwora. Powłócząc nogami, Keenan wyszedł z kuchni.

- Nie mogę zabierać go ze sobą w każde miejsce... - zaczął trochę wrogo Coop.

- Oczywiście, że nie. Jest przemęczony. I tak nie pozwoliłabym mu iść. - Zawahała się i pośmiewała, że nie potrafi zignorować swojej intuicji. - Wszystko w porządku?

- Wszystko jest jak trzeba! - Nie wiedział, dlaczego krzyknął. Nie wiedział, dlaczego czuł się tak, jakby do podeszwy przyłgnęło mu coś obrzydliwego.

- Mam swoje sycie, wiesz? Nie potrzeba mi śladnych dzieciaków wskakujących na plecy ani twoich obiadków. I nie muszę się tłumaczyć.

Jej oczy zrobiły się bardzo chłodne, a twarz spokojna i opanowana.

- Oczywiście, że nie musisz. Doceniam, że pomagałeś mi przez ubiegłe dwa tygodnie.

Daj mi znać, kiedy będę mogła się odwdziaczyć.

- Posłuchaj, Zoe...

- Muszę postawić obiad na stole, inaczej spóźnię się do pracy. - Pozwoliła, żeby drzwi między nimi się zatrzasnęły. - Baw się dobrze na meczu.

Wiedziała doskonale, jak długo stał nieruchomo, kiedy kręciła się przy kuchni.

Wiedziała, kiedy się odwrócił i odszedł.

To nic nieoczekiwanego, przypomniała sobie. Takie wycofanie było typowe, nawet zrozumiałe. MoŜe Coop potrzebował paru tygodni, aby zrozumieć, Ŝe nie jest sama. Ŝe jest częścią pary, gotowej rodziny, z jej obowiązkami, problemami i zwyczajami.

A więc zapragnął się od tego uwolnić.

MoŜe nawet jeszcze tego nie wiedział, ale to była pierwsza faza całkowitego wycofania się.

Jej oczy zasnuły się łzami, bolało ją serce. Wzięła się w garść i przełknęła łzy.

Postanowiła, Ŝe w nocy sobie popłacze. Teraz jednak musiała pocieszyć małego chłopca.

Kiedy wszedł do kuchni, kucnęła. Ich oczy znalazły się na tym samym poziomie.

- Dobrze się dzisiaj bawiłeś z Coopem, prawda? Keenan pociągnął nosem i potaknął.

- Zabierał cię w wiele miejsc. Miałeś mnóstwo dobrej zabawy i zrobiłeś wiele nowych rzeczy.

- Wiem.

- Powinieneś być za to wdzięczny, synku, a nie narzekać, Ŝe nie moŜesz mieć więcej.

Wyprostowała się z nadzieją, Ŝe sama będzie w stanie posłuchać własnej rady.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Sporo czasu tu spędzasz. - Ben oparł się o biurko Coopa. Wszędzie dookoła dzwoniły telefony i stuknęły klawisze na klawiaturach komputerów.

- No i? - spytał Coop, nie odrywając oczu od ekranu komputera, na którym pisał swój cotygodniowy felieton.

- Myślałem, Ŝe będziesz pisał w swoim mieszkaniu. No wiesz, to świetna lokalizacja. -

Pomyślał o Zoe. - I świetne widoki. Nie spędzałeś tu tyle czasu, kiedy mieszkałeś w śródmieściu.

- Potrzebowałem zmiany otoczenia.

- No tak. - Ben parsknął i podniósł piłkę baseballową z biurka Coopa. - Kłopoty w rajcu?

- Nie wiem, o czym mówisz. I mam felieton do napisania.

- To całkiem oczywiste, że przez ostatnie parę tygodni nie wychodziłeś od swojej gospodyni. - Przerzucał piłkę z ręki do ręki. - Kiedy jakiś facet ciąga ze sobą dzieciaka i kupuje małe koszulki baseballowe, to na pewno znaczy, że chce przypodobać się jego matce.

Oczy Coopa zalsniły.

- Lubię tego dzieciaka, rozumiesz? Nie muszę wykorzystywać czterolatka, żeby zdobyć kobietę. Dzieciak jest fajny.

- Ej, nie mam nic przeciwko dzieciom. Może kiedyś sam się o nie postaram. Chodzi mi o to, że kiedy kobieta ma potomstwo, facet musi odgrywać tatusia, jeśli chce ją zdobyć.

- Kto powiedział, że muszę cokolwiek odgrywać, żeby zdobyć kobietę?

- Ja nie. Ale to ty nie mogłeś w zeszłym tygodniu pograć w kosza, bo zabierałeś rodzinę do oceanarium. - Ben mrugnął i odłożył piłkę. - Ale i tak pewnie dostałeś lepszą nagrodę niż ja.

Odskoczył, kiedy Coop próbował złapać go za gardło.

- To nie tak - powiedział Coop przez zaciśnięte zęby.

- Ej, uspokój się trochę. Nie robiłbym takich głupich uwag, gdybym wiedział, że traktujesz to poważnie.

- Nie powiedziałem, że to poważne. Powiedziałem, że to nie tak.

- Jak sobie chcesz.

Wściekły na siebie Coop opadł z powrotem na krzesło. On i Ben dokuczali sobie w kwestii kobiet już ponad pięć lat. Nie ma powodu przesadzać, pomyślał. Ani robić z siebie głupca.

- Przepraszam. Mam za dużo na głowie.

- Nie przejmuj się. Potrzeba ci trochę rozrywki. Przyjdiesz dziś wieczorem na pokera?

- Tak.

- Dobrze. Utrata pieniędzy powinna poprawić ci humor.

Coś musi, pomyślał Coop, z powrotem wpatrując się w ekran. Przez ostatnie trzy dni niewiele spał, jeszcze mniej jadł i przez cały czas zmieniał zdanie.

To dlatego, że unikał problemu. Uciekał zamiast porozmawiać. Jeśli chciał, aby życie znowu powróciło do normalności, musiał stawić czoło problemowi.

Wyłączył komputer.

* * *

Zoe pomyślała, że samotność potrafi być bardzo dobra, zwłaszcza kiedy ma się wolne popołudnie i żadnych klientów, żadnych zamówień. To oznaczało, że nie musiała być sprzedawczynią, kelnerką, mamą, mogła być po prostu Zoe.

Siedząc na schodku z tyłu domu, usiłowała zrozumieć sposób montażu nowego grilla, który kupiła. Zamierzała zaskoczyć Keenana hamburgerami.

Lubiła ciszę - swój własny rodzaj ciszy, który oznaczał, że z kuchennego radia dobiegała muzyka. Lubiła samotność - swój rodzaj samotności, który oznaczał, że lada chwila dołączy do niej Keenan, z otwartymi ramionami i dźwięcznym głosem.

Wiedziała, że mieszkanie na górze jest puste i usiłowała o tym nie myśleć. Usiłowała nie myśleć o tym, że w ostatnich dniach Coop coraz częściej przebywał poza domem.

Głupio myślała, że jest inny niż wszyscy. Pragnął jej, wziął ją, a teraz stracił zainteresowanie. Cóż, ona też go pragnęła, więc nie mogła zrzucić na niego winy. Nawet jeśli jej serce cierpiało, to minie. Wcześniej też minęło. Ona i Keenan poradzą sobie sami. Jak zawsze.

Śrubokręt się jej osunął i uderzył ją w kostkę. Zaklęła.

- Co ty robisz, do diabła? Rozwścieczona, popatrzyła na Coopa.

- Piękne ciasto. A jak myślisz?

- Nie złośliysz niczego, jeśli będziesz gubiła części. - Automatycznie pochylił się, żeby się wszystkim zająć.

Odrzuciła jego rękę gumowym uchwytem śrubokrętu.

- Nie musisz niczego za mnie robić. Nie jestem jakąś biedną, bezradną kobietką, która potrzebuje mężczyzny. Zanim się pojawiłeś, dobrze dawałam sobie radę.

Urażony, schował ręce do kieszeni.

- No dobra. Zrób to sama.

- Robię to sama. Lubię robić to sama.

- Cudownie. A kiedy ci się to rozpadnie, będziesz mogła mieć pretensję tylko do siebie.

- Zgadza się. - Dmuchnęła, chcąc odsunąć z oczu pasmo włosów. - Potrafię się przyznać do błędu.

- Podniosła klucz francuski i umocowała śrubę.

- Będiesz tak krąŜył nade mną przez całe popołudnie?

- Chcę z tobą porozmawiać.

- No to rozmawiaj.

Dobrze się do tego przygotował. W końcu przecieŜ był dziennikarzem.

- Przez to, Őe tak spotykałem się z tobą i twoim małym...

- Ma na imię Keenan - powiedziała Zoe przez zaciśnięte zęby.

- Wiem, jak ma na imię. Przez to, Őe kręciłem się tutaj przez ostatnie tygodnie, mogłem zostać opacznie zrozumiany.

- Doprawdy? - Znowu podniosła wzrok i uderzała kluczem francuskim o wnętrze dłoni.

- To świetny dzieciak, łatwo się do niego przyzwyczaić. Naprawdę lubię spędzać z nim czas.

Choć Zoe wcale nie chciała, zmiękła. Zrozumiała, Őe Coop naprawdę lubił Keenana.

Co tylko wszystko utrudniało.

- On teŜ lubi spędzać czas z tobą. To dla niego dobre.

- Tak, z jednej strony. Z drugiej, zacząłem myśleć, Őe on... Őe ty... Őe oboje możecie odnieść błędne wrażenie. No wiesz, zabawa w baseball albo pójście z nim na mecz to bardzo przyjemna sprawa. Po prostu nie chcę, Őeby myślał, Őe to na zawsze.

- Rozumiem. - Teraz była spokojna, nawet lodowato spokojna. Dzięki temu mogła kontrolować ból. - Boisz się, Őe zacnie cię traktować jak ojca.

- Cóż, tak. Tak jakby.

- To zupełnie naturalne. Ale przecieŜ spędza teŜ duŜo czasu z panem Finklemanem i z Billym Bowersem z naprzeciwnka...

- Finkleman mógłby być jego dziadkiem, a chłopak Bowersów ma osiemnaście lat. -

Coop cofnął się i uświadomił sobie, Őe w tej jego obronie kryje się odrobina zazdrości. - Poza tym ich nie łączy z tobą to, co mnie.

- Łączy? - Uniosła brwi. - A co nas łączy?

- Związek - powiedział z napięciem. - A jak to chcesz sobie nazywać, do cholery? A niech to, wiem, Őe spaliśmy ze sobą tylko raz, ale...

- Mam tego świadomość. - OstroŚnie odłoŚyła klucz. Gdyby teraz rąbnęła go w głowę tym kluczem, satysfakcja nie trwałaby długo.

- To wszystko wyszło nie tak - powiedział, wściekły na siebie. - To zabrzmiało tak, jakby to nie miało znaczenia. A miało, Zoe, miało. - I to olbrzymie, obawiał się. Olbrzymie. -

Chodzi o to, Śe...

- Jesteś przeraŚony, Śe ja i Keenan wrobimy cię w rodzinę. Śe obudzisz się pewnego ranka i stwierdzisz, Śe jesteś tatusiem, z Śoną, hipoteką i małym chłopcem, który wymaga opieki.

- Tak. Nie. Coś w tym rodzaju. - Uświadomił sobie, Śe się pogrąŚa i nagle nie wiedział, dlaczego tak się dzieje. - Chciałem, Śeby wszystko było jasne.

- O, i jest. Idealnie jasne. - Potarła kolana rękami i przyglądała mu się uwaŚnie. - Nie musisz się martwić, Coop. Szukałam lokatora, a nie ojca dla swojego dziecka ani męŚa dla siebie. Przespałam się z tobą dlatego, Śe tego chciałam, a nie, Śe uznałam to za sposób na zaciągnięcie cię przed ołtarz.

- Nie chodziło mi o to. - Zdenerwowany, przejechał ręką po włosach. NiezaleŚnie od tego, jak zaplanował sobie tę scenę, wszystko poszło nie tak. - Pragnąłem cię. Nadal cię pragnę. Wiem jednak, jak bardzo cię wcześniej zawiedziono. Nie chcę cię ranić, Zoe. Ani małego. Po prostu nie chcę, Śebyś myślała, Śe wśliznę się na wolne miejsce.

Gniew powrócił, fala złości zmaćiła jej wzrok. Zoe zerwała się na równe nogi, zanim w ogóle zdali sobie sprawę z tego, Śe się poruszyła.

- Keenan i ja nie mamy wolnego miejsca. Jesteśmy rodziną, tak prawdziwą i pełną jak to tylko moŚliwe. - Dźgnęła go kluczem w klatkę piersiową. - To, Śe nie ma z nami tatusia, nie oznacza, Śe jesteśmy mniej wartościowi.

- Nie chodziło mi o to...

- Powiem ci, o co ci chodziło. Widzisz kobietę i małego chłopca i od razu myślisz, Śe polują na jakiegoś wielkiego, silnego męŚczyznę, Śeby ich uzupełnić. CóŚ, to bzdura. Gdybym potrzebowała męŚczyzny, juŚ dawno bym go miała. I gdybym uwaŚała, Śe Keenan potrzebuje ojca, bo ten ojciec go uszczęśliwi, tobym mu go znalazła. A poza tym - ciągnęła, nie pozwalając mu dojść do głosu - jeśli uwaŚasz, Śe jesteś na pierwszym miejscu jakiejś fikcyjnej listy, to się mylisz. MoŚe i jestem w tobie zakochana, ale to nie wystarczy. Nie chodzi tylko o mnie i o ciebie. NajwaŚniejszy jest Keenan. Jeśli chciałabym ojca dla Keenana, musiałby to być ktoś współczujący i cierpliwy, ktoś, kto byłby gotów zmienić swoje Śycie, Śeby znalazło się w nim miejsce dla syna. Więc odpręŚ się, Cooper. Nie jesteś zagrożony.

- Nie przyszedłem tu klócić się z tobą.

- To dobrze, bo juŚ skończyłam.

Złapał ją za ramię, zanim zdąŚyła się odwrócić.

- Ale ja nie. Zamierzam być z tobą szczerzy, Zoe. ZaleŜy mi na tobie, rozumiesz? Na was obojgu. Po prostu nie chcę, Ŝeby to wszystko wymknęło mi się spod kontroli.

- Jakiej kontroli? - odparła. - Twojej? To chyba nie problem, prawda? PrzecieŜ

potrafisz wszystko chować w sobie. No to chowaj, Coop. Nie martw się o mnie ani o Keenana. Nic nam nie będzie. - Wyszarpnęła rękę i znowu usiadła. Wzięła instrukcję i całkowicie się na niej skoncentrowała.

Zastanawiał się, dlaczego teraz czuł się tak, jakby go odrzuciła. Potrząsnął głową i zrobił krok do tyłu.

- Przynajmniej to sobie wyjaśniliśmy.

- No właśnie.

- Mam trochę czasu, jeśli chcesz, Ŝebym pomógł ci z tym grillem...

- Nie, dziękuję. Sama to zrobię. - Zerknęła na niego z ukosa. - Potem przyrządzę hamburgery. MoŜesz się do nas przyłączyć. Chyba Ŝe boisz się, Ŝe to skończy się jakimś związkiem.

Celuje i trafia, pomyślał gorzko.

- Dziękuję, ale nie. Mam juŜ plany. MoŜe innym razem.

- Dobrze. Wiesz, gdzie nas znaleźć.

* * *

Upił się. Nie wstawił, ale po prostu upił. Kiedy wygramolił się z taksówki i zataczając, ruszył w kierunku domu, wiedział, Ŝe rano będzie się nienawidził. Teraz jednak musiał

skoncentrować się na chwili obecnej.

Oparł się ciężko o drzwi frontowe prowadzące do mieszkania Zoe i czekał, aŜ weranda przestanie mu się kołysać pod stopami. MoŜe uznała, Ŝe juŜ ze sobą skończyli, pomyślał

mętnie, ale się myliła. Bardzo się myliła.

Myślał o wielu rzeczach, które musiał jej powiedzieć.

To był bardzo odpowiedni moment. Podniósł pięść i walnął nią w drzwi.

- Wychodź, Zoe! - Znowu walnął. - Wiem, Ŝe tam jesteś! Zobaczył, Ŝe w domu zapala się światło, więc nie przestawał walić.

- No chodź, no chodź. Otwieraj!

- Coop? - Po drugiej stronie drzwi Zoe pośpiesznie przewiązała paskiem szlafrok.

Dopiero dwadzieścia minut temu wróciła z baru, a pięć minut temu położyła się do łóżka. -

Jest po drugiej nad ranem. Czego chcesz?

- Chcę z tobą porozmawiać. Wpuść mnie.

- Porozmawiamy rano.

- Powiedziałaś, że już jest rano.

Kiedy znowu zaczął walić, otworzyła zamki.

- Przestań! Obudzisz Keenana. - Wściekła, otworzyła drzwi i niespodziewanie zważyła

się na nią osiemdziesięciokilkukilogramowy mężczyzna. - Jesteś ranny? Co się stało? -

Niepokój zniknął, kiedy wyczuła zapach piwa. - Jesteś pijany.

- Raczej tak. - Zaczął się wyprostowywać, po czym zatracił się w jej zapachu. - Boże, jak ty ładnie pachniesz. Czym ty je myjesz? - Potargał jej włosy. - Pachną jak stokrotki.

- Naprawdę się upiłeś - westchnęła. - Usiądź. Zrobię ci kawę.

- Nie chcę kawy. Ona nie pomaga wytrzeźwieć, tylko rozbudza. A ja jestem rozbudzony i mam ci coś do powiedzenia. - Odsunął się i odkrył, że nie ma takiej koordynacji ruchów, jak myślał. - Ale muszę usiąść. - I usiadł ciężko. - Nienawidzę się upijać. Nie robiłem tego od czasów ligi juniorów. Mówiłem ci, że byłem w lidze juniorów?

- Nie. - Zakłopotana, nie ruszyła się, tylko na niego patrzyła.

- W liceum. Dwa lata. Myślałem, że zostanę wybitnym graczem. Jednak nie zostałem, więc poszedłem na studia i teraz piszę o tych, którym się udało.

- Przykro mi.

- Nie. - Machnął ręką. - Lubię pisać. Zawsze lubiłem. Lubię oglądać mecze i widzieć te wszystkie małe tragedie. Gdybym grał, już przechodziłbym na emeryturę. Mam prawie trzydzieści trzy lata. Jestem za stary na jakąkolwiek grę. - Popatrzył na nią i uśmiechnął się. -

Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w Syciu. Wiesz, mały wygląda zupełnie jak ty.

Patrzę na niego i widzę ciebie. To dziwne. Przez cały czas cię widzę. Robię swoje i nagle...

trach! Twoja twarz jest w mojej głowie. Co o tym myślisz?

- Naprawdę nie wiem. - Chciała się na niego rozzłościć, naprawdę chciała. Ale był tak głupkowato

pijany. - MoŜe zaprowadzê ciê na górê, Coop? PołoŜe ciê do łóŜka.

- Chcê ciê w swoim łóŜku, Zoe. Chcê siê z tobà kochać. Chcê ciê znowu dotykać. Ona takŜe tego chciała. Nawet bardzo. Teraz jednak pojawiły siê nowe reguły.

- Mówiłeś, Ŝe chciałeś ze mnà porozmawiać.

- Wiesz, jaka jest twoja skóra? Nie potrafiê tego opisać, jest taka miêkka, gładka i ciepła. Zaczàłem myśleć o twojej skórze, kiedy dziś grałem w pokera i siê upijałem.

Wygrałem. Zgarnàłem sporà pulê z parà szóstek. Wygrałem ponad dwieście piêćdziesiąt dolarów.

- Gratulacje.

- Ale ciàgłe o tobie myślałem. Masz tutaj taki mały pieprzyk. - Niemal wsadził sobie palec w oko, a nastêpnie przejechał palcem po swoim policzku do kącika ust. - WciàŜ

myślałem o tym małym pieprzyku, o twojej skórze, o tych wielkich oczach i zabójczych nogach. I myślałem, Ŝe lubiê patrzeć na ciebie i małego, tak jak to czasem robiê na górze, kiedy nie widzicie. Nie wiedziałaś, prawda?

- Nie - odparła cicho. - Nie wiedziałem.

- No widzisz. - Zaczàł dziwnie gestykulować.

- PrzejeŜdŜasz tak rękà po włosach. To mnie wzrusza.

- Potrząsnàł głowà. - To mnie naprawdê wzrusza. Keenan mnie kocha, wiesz.

Powiedział mi to. I ty teŜ.

- Wiem.

- A to wszystko, co mówiłem po południu, mówiłem powaŜnie.

- Wiem. - Westchnęła i podeszła, Ŝeby rozwiàzać mu sznurowadła.

- KaŜde słowo, Zoe. UłoŜyłem sobie Ŝycie tak, jak chciałem.

- Dobrze. - Zdjęła mu buty i połoŜyła jego nogi na kanapie.

- Wiêc moŜesz przestać siedzieć w mojej głowie, bo i tak niczego nie zmienię.

- Zapamiętam to.

Zasnàł, zanim siê pochyliła i pocałowała go w policzek.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W kategorii kaców ten z pewnością był jednym z najsilniejszych. Coop nie musiał

nawet otwierać oczu, nie musiał się ruszać, żeby się o tym przekonać. W jego głowie dudniła cała orkiestra.

Nie był pewien, jak dostał się do domu i do łóżka, ale niepokoiło go, że tego nie pamięta. Pomyślał jednak, że poczeka, a że w pełni odzyska sprawność umysłu.

Ostrożnie, wręcz ze strachem, otworzył oczy. Tuż nad nim pochylała się mała twarzyczka. Szarpnął głową, po czym jęknął z bólu.

- Dzień dobry - powiedział radośnie Keenan. - Spałeś u nas?

- Nie wiem. - Coop przyłożył rękę do czoła. - Gdzie mama?

- Robi mi lunch. Powiedziała, że mogę przyjść i na ciebie popatrzeć, jeśli cię nie obudzę. Nie obudziłem cię, prawda? Byłem naprawdę cicho.

- Nie. - Coop znowu zamknął oczy i modlił się o zapomnienie.

- Niedobrze ci? Masz temperaturę? - Keenan położył małą, lekką rączkę na obolałym czole Coopa. - Mama ci pomoże. Zawsze pomaga. - Keenan pocałował go w czoło. - Lepiej ci?

Do diabła, pomyślał Coop. Nawet kac nie miał szans w starciu z tym dzieciakiem.

- Tak, dziękuję. Która godzina?

- Duża wskazówka jest na dziesiątce, a mała na ósemce. Możesz spać w moim łóżku, dopóki nie wyzdrowiejesz, i możesz się bawić moimi zabawkami.

- Dziękuję. - Coop zdobył się na nadludzki wysiłek i usiadł. Kiedy zakręciło mu się w głowie, przytrzymał ją rękami. - Keenan, bądź dobrym kumplem i poproś mamę o aspirynę.

- Dobrze. - Odbiegł, a dudnienie jego tenisówek o podłogę sprawiło, że Coop zadrżał.

- Ból głowy? - zapytała Zoe moment później. Coop uniósł głowę. Zoe nadał była w szlafroku.

Szlafroku, który zapamiętał z ubiegłej nocy. Zaczynał sobie całkiem sporo przypominać.

- Jeśli zamierzasz na mnie wrzeszczeć, mogłabyś to zrobić później?

W odpowiedzi wręczyła mu aspirynę i szklankę wypełnioną czerwonym płynem.

- Co to jest?

- Lekarstwo od barmana Joego. Gwarantuje, że to pomoże.

- Dzięki.

Klakson przed domem wbił się w czaszkę Coopa niczym tępy nóż. Kiedy usiłował

uporać się z szokiem, wrócił Keenan, żeby się pośmiać.

- Cześć, mama, cześć! - Pocałował ją, następnie odwrócił się do Coopa. - Cześć.

Kiedy drzwi się za nim zatrzasnęły, Coop przełknął lekarstwo Joego.

- Chcesz kawy? - Zoe przejechała językiem po zębach i próbowała się nie uśmiechać. -

Jakieś śniadanie?

- Nie będziesz na mnie wrzeszczeć?

- Za to, żebyś wpadł tu pijany w środku nocy? I zasnęłaś na mojej sofie? - Zamilkła na chwilę, aby to w sobie przetrawić. - Nie, nie zamierzam na ciebie wrzeszczeć. Myślę, że i tak wystarczająco cierpisz.

- Cierpię, uwierz mi. - Wstał, żeby pójść za nią do kuchni. - Nie tylko fizycznie. Czuję się jak ostatni palant.

- Bo zachowałeś się jak palant. - Nalała mu kubek kawy i postawiła go na stole. -

Trzeci mąż mojej matki miał słabość do burbona. Przysięgał, że jajka rano to wspaniałe remedium. Jak ci je przyrządzić?

- Możliwe jajecznicę? - Usiadł przy stole. - Przykro mi, Zoe. Przepraszam.

- Za co? - Stała do niego tyłem.

- Za to, że po południu byłem idiotą, a w nocy jeszcze większym.

- A, za to. - Wrzuciła bekon na patelnię i wzięła małą miskę, żeby wbić do niej jajka. -

To pewnie nie pierwszy ani nie ostatni raz, kiedy zachowałeś się jak palant.

- Nie powiedziałaś... - poruszył się z niepokojem. - Nie powiedziałaś Keenanowi, że...

- Upiłeś się i bełkotałeś? - Z półuśmiechem na twarzy zerknęła przez ramię. -

Powiedziałam mu, że źle się poczułeś i położyłeś się na sofie. Całkiem blisko prawdy.

- Dziękuję. Nie chciałbym, żeby pomyślał... Sama wiesz. Nie mam tego w zwyczaju.

- Mówiłeś to wczoraj w nocy. - Odwróciła bekon i ubiła trzepaczką jajka. Obserwował

ją, powoli wychodząc z oszołomienia, że nie zamierzała utrzymać mu nosa za bałagan, jakiego narobił w jej życiu. Przypomniał sobie wczorajsze popołudnie, kiedy przeciwstawiła mu się z dumą i furją

w oczach. I tę noc sprzed kilku tygodni, kiedy zasnął na jej sofie - jak wyglądała, kiedy wyjęła chłopca z jego ramion i zaniosiła go do łóżka.

Dziesiątki innych obrazków przelatywały mu przez głowę, aŜ nareszcie zlały się w jeden. Właśnie ten. Zoe stojąca przy kuchni w szlafroku, poranne słońce igrające w jej włosach, zapach śniadania wypełniający pomieszczenie.

Jak mógł myśleć, Ŝe tego nie chce? Właśnie tego.

I co miał zrobić teraz, kiedy juŜ znał prawdę?

- Jedzenie powinno ci pomóc. - Postawiła przed nim talerz. - Muszę przygotować się do pracy.

- Mogłabyś... Masz chwilę czasu?

- Chyba tak. - Nalała sobie kawy. - Zaczynam dopiero o dziesiątej. Zabrał się do jedzenia, a rozmaite myśli przelatywały mu przez głowę.

- Bardzo smaczne. Dziękuję.

- Nie ma za co. - Oparła się o szafkę. - Chcesz coś jeszcze?

- Tak. - Zjadł trochę więcej, mając nadzieję, Ŝe jajka pomagają na odwagę. Potem odłożył widelec. Dziewiąta runda, pomyślał, a juŜ miał na koncie dwa auty. - Ciebie. Chcę ciebie. Uśmiechnęła się półgębkiem.

- Coop, wątpię, Ŝebyś był w formie, a ja naprawdę muszę iść do pracy, więc...

- Nie, nie to mam na myśli. To znaczy, mam, ale nie... - Przerwał i wziął głęboki oddech. - Chcę, Ŝebyś za mnie wyszła.

- Słucham?

- Uważam, Ŝe powinnaś za mnie wyjść. To dobry pomysł. - Nagle uświadomił sobie, Ŝe właściwie przez cały czas ta myśl kołatała mu się po głowie. Naprawdę myślał o tym. -

Mogłabyś zrezygnować z pracy kelnerki i wrócić do szkoły. Albo otworzyć kwiaciarnię.

Cokolwiek. Uważam, Ŝe tak powinnaś zrobić.

- Doprawdy... - Ponieważ trochę kręciło się jej w głowie, odstawiła kawę. - To bardzo wspaniałomyślnie z twojej strony, Coop, ale nie muszę wychodzić za mąż, Ŝeby zrobić te rzeczy. Ale i tak dziękuję.

- Nie? - Wpatrywał się w nią. - Dajesz mi kosza? Ale przecieŜ mnie kochasz.

Powiedziałaś mi to. Dwa razy.

- No to teraz będą trzy - powiedziała spokojnie.

- Tak, kocham cię. Nie, nie wyjdę za ciebie. A teraz naprawdę muszę się szykować do pracy.

- Poczekaj jeszcze jedną cholerną minutę. - Zapomniał o kacu, odepchnął krzesło od stołu i wstał.

- Co to za gra? Kochasz mnie, twój dzieciak za mną szaleje, cudownie nam razem w IóŜku, nawet potrafię rozwozić dzieciaki z sąsiedztwa, ale ty za mnie nie wyjdiesz?

- Jesteś idiotą. Jesteś głupcem. Myślisz, Őe skoro nie walczyłam, zanim znalazłam się w twoim IóŜku, to wszystko będzie tak, jak ty chcesz? I kiedy chcesz? No cóŜ, mylisz się.

Rzeczywiście jesteś palantem.

Skrzywił się, kiedy wybiegła z kuchni. Jeden do zera, pomyślał. A on nawet nie dostrzegł rzutu.

Ale gra nie jest jeszcze skończona, pomyślał ponuro.

* * *

Zoe aŜ się gotowała, kiedy wróciła do domu z pracy. Ze wszystkich aroganckich, wścibskich, skoncentrowanych tylko na sobie idiotów J. Cooper McKinnon był najgorszy.

Najpierw pouczył ją, Őe ślub z nim to dobry pomysł, a następnie zaczął wymieniać wynikające z niego korzyści.

Myślał, Őe jest taką niesamowitą okazją.

Jednego dnia mówił jej, Őeby wybiła sobie z głowy jakiegokolwiek pomysły na wrobienie go w związek - zupełnie, jakby usiłowała zastawić na niego pułapkę. A następnego dnia litował się nad nią i ofiarowywał swoją wielką, męską, pomocną dłoń.

Powinna mu była ją odgryźć. Ani razu, ani razu nie powiedział, co mogłaby mu dać, co do niej czuł, czego pragnął. Ani razu nie wspomniał, Őe mógłby czy chciałby zaakceptować dziecko innego mężczyzny jako swoje własne.

Gwałtownie otworzyła drzwi i zatrzęsła je za sobą. Mógł sobie wsadzić gdzieś takie oświadczyń!

- Mamo! Hej, mamó! - Keenan wpadł do pokoju gościnnego i złapał ją za rękę. -

Chodź, chodź. Mamy niespodziankę.

- Jaką niespodziankę? Co robisz w domu, Keenan? Miałeś być u Finklemanów.

- Coop tu jest. - Pociągnął ją mocno za rękę.

- Mamy niespodziankę. I tajemnicę. Musisz przyjść teraz.

- No dobrze, już idę. - Zebrała siły i pozwoliła Keenanowi zawlec się do kuchni.

Wszędzie były kwiaty, mnóstwo kwiatów, w wazonach, koszach, na blatach, podłodze, parapetach. Z radia dobiegała muzyka, jakaś delikatna, romantyczna sonata. Stół był

zastawiony, kryształowe kieliszki, których nigdy nie widziała, lśniły w słońcu, butelka szampana chłodziła się w srebrnym wiaderku. Obok stał Coop w wyprasowanej białej koszuli i czarnych eleganckich spodniach.

- To niespodzianka - oznajmił radośnie Keenan.

- Wszystko tak ładnie ustawiliśmy, żeby ci się spodobało. Pani Finkleman pożyła nam kieliszki i talerze. A pan Finkleman zrobił swojego specjalnego kurczaka, bo można mu się oprzeć.

- Nie można mu się oprzeć - poprawił go Coop, nie odrywając oczu od Zoe. -

Mówiłaś, że nie potrzebujesz kwiatów i blasku świateł, a ja nigdy nie zabrałem cię na randkę.

Pomyślałem, że to ci się spodoba.

- Podoba ci się, mamo? Podoba ci się?

- Tak, jest bardzo ładnie. - Kucnęła, żeby pocałować Keenana. - Dziękuję ci.

- Idę do Finklemanów, żebyście mogli mieć romans.

- Daj spokój, mały. - Coop podniósł Keenana.

- Chodź, odprowadzę cię... Miałaś nic o tym nie mówić - mruknął, wynosząc chłopca przed dom.

- Co to jest romans?

- Później ci powiem.

Usatysfakcjonowany Keenan objął rękami szyję Coopa.

- Powiesz mamie tajemnicę... że wszyscy weźmiemy ślub?

- Takie mam plany.

- I że będziesz z nami mieszkał, będziesz moim tatą i będzie fajnie?

- Będzie świetnie. Będzie doskonale. - Zatrzymał się obok płotu, żeby pocałować chłopca. - Kocham cię, Keenan.

- Dobrze. - Mocno uściskał szyję Coopa. - Cześć.

- Cześć.

- Ju - hu! - W drzwiach z tyłu domu pojawiła się pani Finkleman. Pokazała Coopowi uniesiony do góry kciuk i wpuściła Keenana.

Kiedy Coop wrócił, Zoe stała mniej więcej w tym samym miejscu, w którym ją zostawił. Nie był pewien, czy to dobry znak.

- Gotowa na szampana?

- Coop, to bardzo miło z twojej strony, ale...

- Podobają ci się kwiaty? - Zdenerwowany jak diabli, otworzył butelkę.

- Są cudowne, ale...

- Nie mogłem ich kupić tam, gdzie pracujesz, bo zepsułbym niespodziankę. Keenan naprawdę mi pomógł w przygotowaniach. - Wręczył jej kieliszek, a kiedy spojrzała w inną stronę, pochylił się, żeby ją pocałować. - Cześć.

- Coop. - Musiała poczekać, aż jej serce przestanie tak szybko bić. - Wiem, że musiałeś zadać sobie sporo trudu...

- Powinienem był to zrobić już wcześniej. Nie wiedziałem jednak, że chcę.

- O Boże. - Odwróciła się i spróbowała wziąć się w garść. - Tym razem to ty mnie źle rozumiałeś. Nie potrzebuję pułapek. Nie muszę mieć romantycznych wieczorów i... -

machnęła ręką, wskazując świece - blasku świec.

- Oczywiście, że musisz mieć. Ja też, kiedy jestem z tobą.

- Usiłujesz mnie oczarować - stwierdziła niepewnie. - To coś nowego.

- Wiesz, jaki jestem. Ten dom jest tak skonstruowany, że właściwie mieszkamy ze sobą już od miesiąca. Ludzie potrafią poznać się lepiej tylko na wielu spotkaniach towarzyskich. A więc wiesz, jaki jestem, a i tak się we mnie zakochałaś.

Przyjęła kieliszek.

- Bardzo jesteś sprytny. Powiedziałam ci, że to ja odpowiadam za swoje uczucia i to prawda. Romantyczna kolacja niczego tu nie zmieni.

Wyglądało to na kolejny punkt dla niej, ale Coop nie zamierzał tak łatwo dać za wygraną.

- No więc chcę ci podarować przyjemny wieczór. Co w tym złego? Chcę, żeby wypadło lepiej niż jajecznicza na kacu. - Głos podniósł mu się niebezpiecznie, więc się zreflektował i próbował się uspokoić. - Cholera, to mój pierwszy raz, okaż odrobinę tolerancji. Nie, nic nie mów, pozwól mi skończyć. No dobrze. Nie potrzebujesz mnie. -

Odetchnął głęboko.

- Nie chcesz, żebym zajął się wszystkim, tobą i małym, żebym kosił trawę albo złożył ten głupi grill. A co z moimi potrzebami, Zoe?

Zamrugnęła i popatrzyła na niego.

- No właśnie. Nie rozumiesz? Przecież dałem ci jasno do zrozumienia, że nie chcesz i nie potrzebujesz żadnych więzów. A ja już mam więzy.

- Dałem ci to jasno do zrozumienia? - powtórzył.

- Nie dałem ci niczego jasno do zrozumienia, bo sam tego nie wiedziałem. Nie chciałem wiedzieć. Bałem się. No i już. Lepiej się teraz czujesz? - Zerknął na nią. - Bałem się, ponieważ cię potrzebuję. Bo muszę widzieć twoją twarz, słyszeć twój głos i wachać twoje włosy. Chcę, żebyś była ze mną. I chcę pomagać ci kosić trawę i poskładać grill. Chcę, żebyś mnie znowu potrzebowała.

- Och. - Zamknęła oczy. - Podoba mi się to.

- Powiedz, że tak będzie. - Ujął jej rękę i czekał, aż znowu otworzy oczy. - To mój ostatni rzut, Zoe.

- Wyjdź za mnie.

- Ja... - Tak. Chciała powiedzieć „tak”. - Nie chodzi tylko o mnie, Coop.

- Myślisz, że nie chcę małego? Boże, otwórz jej oczy. Szaleję za nim. Zakochałem się w nim, jeszcze zanim zakochałem się w tobie. Chcę się oświecić z wami obojgiem, a potem możemy mieć jeszcze jedno czy dwoje dzieci. Już to ustaliliśmy.

- Ustaliliście? Kto ustalił?

Zaklął, cofnął się i wzruszył ramionami.

- Właściwie to rozmawiałem o tym z małym. Uznałem, że spróbuję wy badać, co on o tym wszystkim myśli. - Kiedy tak stała i tylko wpatrywała się w niego, poczuł się niepewnie i włożył rękę do kieszeni. - Wydawało mi się, że powinienem go wtajemniczyć w moje plany, skoro ma być moim synem.

- Twoim - mruknęła, wpatrując się z osłupieniem w kieliszek.

- Ponieważ stanowicie zespół, musiałem się tym z nim podzielić. Tak czy inaczej, on jest za. Więc mamy dwa do jednego.

- Rozumiem.

- Może nie bardzo znam się na obowiązkach ojca, ale kocham małego. To dobry początek.

Znowu na niego popatrzyła, spojrziała mu prosto w oczy. Poczwała ciepło na sercu.

- To dobry początek.

- I kocham cię. - Jego ręce w kieszeniach się rozluźniły. - Pierwszy raz powiedziałem to do kobiety... poza matką. Kocham cię, Zoe. Dlaczego nie wyjdiesz za mnie i nie zrobisz przyjemności małemu?

- Wygląda na to, że mnie przegłosowano. - Uniosła rękę do jego policzka.

- Czy to znaczy „tak”?

- Zdecydowanie. - Roześmiała się, gdy złapał ją w objęcia. - Tak, tatusiu.

- Podoba mi się to słowo. - Zbliżył wargi do jej ust. - Nawet bardzo.